Nr. 26. Warszawa, dnia 27 (15) Czerwca 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 1 lipca Administracya **Prawdy** mieścić się będzie w prawej oficynie, na drugiem piętrze tego samego domu.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym **przypominamy** nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o możliwie wczesne nadsyłanie jej.

POLITYKA.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRASY.

W Essenie rozstrzygnięta została sprawa, której materyał ma znaczenie wyłącznie miejscowe, ale koniec, wyrażony w wyroku sądowym, zasługuje na szerszą uwagę. Oto jej treść w zarysach głównych: Redaktor *Westph. Volkszeitung*, niejaki Fussangel, ogłosił w tem piśmie szereg artykułów, oskarżających o rozmaite nadużycia całe grono osób, po części zajmujących wysokie stanowiska. Główny wszakże jego zarzut dotyczył wielkiej spółki, posiadającej w Bochumie słynne fabryki żelaza i walcownie (Bochumer Verein), której członkowie mieli fałszywie oszacować wysokość swoich dochodów dla obniżenia przypadającego od nich podatku. Ponieważ w Prusach, gdzie opodatkowanie tego rodzaju opiera się na wierze każdego, takie kłamstwo jest występkiem, ponieważ nadto ciężar zsunięty z bark bogaczów spadał na biednych, przeto artykuły Fussangla narobiły wrzawy i wywołały nieuniknioną konieczność procesu. Wszyscy obrażeni wnieśli skargi o potwarz przeciwko redaktorowi. Ale badanie sądowe ujawniło bardzo wiele niespodzianek. Przedewszystkiem sami skarżący wyznali, że istotnie utaili część swoich dochodów, a skutkiem tego opodatkowani zostali za nizko, chociaż nie w tej mierze, jak utrzymywał Fussangel. Powtóre podsądny złożył dowody, stwierdzone przez świadków, że „Związek bochumski,“ na czele którego stoi wysoki dygnitarz, członek Rady państwa, niejaki Baare, podrabiał stemple komisarzów rządowych i odciskał je na szynach nieprzyjętych, które odstawiano kolejom wraz z dobremi. Ten zarzut ma być przedmiotem osobnego procesu, tymczasem skazano Fussangla za obelgi i *przesadę* na 5 miesięcy więzienia.

Zastanówmy się nad podkreślonym wyrazem, który powiódł osądzonego redaktora do kozy. Jeżeli oskarżymy kogoś o kradzież 10 rs., a on ukradł tylko 9, czy będzie miał prawo domagać się na nas kary za oszczerstwo? Chyba nie, bo tu nie chodzi o ściśle określenie winy, ale o sam fakt złodziejstwa. A jednakże sąd esseński zastosował w swym wyroku taką właśnie zasadę. Fussangel twierdził, że przemysłowcy bochumscy oszacowali swoje dochody przed komisyą podatkową na 40,000, 20,000, 10,000 m., mając 400,000, 200,000, 100,000; tymczasem oni oświadczyli lub dowiedli, że pobierają rocznie 200,000, 100,000, 50,000 m. Oszukali komisyę a z nią skarb państwa, ale nie 10, tylko 2 razy, o tę więc różnicę autor artykułów dopuścił się przeciw nim oszczerstwa. Gdyby sąd, odważywszy winy skrupulatnie, ukarał był przynajmniej obie strony, jedną za oszukaństwo, drugą za potwarz, byłaby w jego wyroku jakaś logika. Co powiedzieć wszakże o jego sprawiedliwości, która potępia niedokładne podanie istotnego faktu, a uniewinnia świadome nadużycie? Pytanie to stawia przed nami jedną z najważniejszych kwestyj odpowiedzialności prasy. Nie myślimy tu wcale bronić z wiedzą rzucanych a kłamliwych posądzeń i dziennikarskiego błota, używanego do czernienia ludzi uczciwych; nie chcemy wywalczać swobody i bezkarności niegodziwym lub lekkomyślnym paszkwilom, bo jest to ohyda, która tępiona być powinna; ale jeżeli władze i sądy, posiadające na swe usługi cały system środków do wykrywania prawdy, często nie mogą jej uchwycić, to czy podobna żądać wszechwiedzy i nieomylności od prasy, która tymi środkami nie rozporządza i zwykle z posłuchów swoje doniesienia czerpie? Nie znamy ani jednego wypadku, w którymby nawet najostrożniejszy dziennik w przedstawieniu faktu tajonego nie popełnił większej lub mniejszej niedokładności. Policya, przybywszy na miejsce spełnionej zbrodni, pomimo że śledzić może bez przeszkody wszystkie jej ślady i badać każdego pod przymusem, prawie nigdy nie dociera do istoty czynu; czyż zdoła tego dokonać reporterya, zbierająca wiadomości przelatujące z ust do ust i niedające się sprawdzić? A czyż inne wpływy nie błąkają redakcyi? Niedawno najpoważniejsza z gazet niemieckich ogłosiła upadłość pewnej firmy medyolańskiej skutkiem błędnie umieszczonej w telegramie kreski. Gdyby więc prasa chciała się ograniczyć do wiadomości zupełnie ścisłych, musiałaby całkiem wyrzec się tych, które dotyczą jakiegokolwiek wykroczenia. Bo pamiętać należy, że tu każdy dodany wyraz obciąża nadmiernie winę i może ściągnąć wielką odpowiedzialność. Czy ktoś zakłada fabrykę o dwu czy trzech kotłach parowych, to mniejsza; ale czy ktoś urządził napad w celach zemsty, czy rabunku — to przedstawia znaczną różnicę. A jakże łatwo, chociaż bez złej woli, dziennik może fakt pierwszy przekształcić na drugi?

Używając codzień wody, nie zdajemy sobie sprawy z okropnych skutków jej braku. Podobnież nie uprzytomniamy sobie

następstw z zaciośnienia prasy do informacyj niewątpliwych. Społeczeństwo ujrzałoby się wtedy w stanie bardzo groźnego niepokoju, a straż bezpieczeństwa straciłaby najlepszą swą pomoc. Dzienniki są i być muszą kanałami, ssącymi z rzeki życia wodę mętną, która dopiero oczyszcza się w filtrach sądowych. Dla położenia zaś tamy lekkomyślności lub zamiarom niegodziwym, wystarczy zastrzeżenie, ażeby doniesienia prasy miały uzasadnienie w istotnym fakcie i ażeby podawane były z dobrą wiarą. Przemysłowcy bochumscy np. rzeczywiście oszukali komisyę podatkową, redaktor ufał zakomunikowanym mu cyfrom — to powinno go zupełnie usprawiedliwić, tem bardziej, że swojem wystąpieniem wyświadczył usługę społeczeństwu. Jego *przesada*, dodanie szachrajom więcej dochodu, niż posiadają — to nie stanowi o niemoralności czynu. On nie miał władzy sądu, nie mógł rewidować ksiąg i badać świadków — a sąd ten karze go za *przesadę*? Dziwna sprawiedliwość.

To też liberalni posłowie sejmu niemieckiego powinni ten wypadek wyzyskać na korzyść swobody prasy.

Z AUSTRYI.

20 czerwca.

Niespodzianki hr. Taaffego. — Zniesienie stanu wyjątkowego. — Projekt ustawy przeciw socyalistom. — Projekt organizacyi przemysłowo-robotniczej. — Zmiany w wewnętrznych stosunkach politycznych. — Ostateczna zgoda między rządem a lewicą. — *N. fr. Presse* i budżet dr. Dunajewskiego.

Przerwa, spowodowana w tegorocznych obradach parlamentu austryackiego wskutek rozwiązania Izby dawnej i powołania nowej, sprawiła, że w Wiedniu toczą się obrady o przedmiotach ważnych jeszcze przy końcu czerwca. Od nudów i zniecierpliwienia chroni hr. Taaffe deputowanych bezustannemi niespodziankami. Taką niespodzianką, która nie mogąc poważnie zaniepokoić parlamentu i ludności, sprawiła im uciechę, był projekt ustawy antisocyalistycznej, wniesiony onegdaj przez rząd. Wiadomo, że po terrorystycznych czynach anarchistów wiedeńskich w r. 1883 i 1884, rząd zaprowadził stan wyjątkowy i że go skierował głównie przeciw socyalistom i robotnikom. Dwukrotnie od tego czasu hr. Taaffe wnosił ustawę przeciw socyalistom, od której przyjęcia czynił zawisłem zniesienie wyjątkowej. Lecz wówczas podobne prawo istniało jeszcze w Niemczech i rządy wierzyły mocno w jej skuteczność, a policya austryacka usiłowała dowieść jego potrzeby długimi wykazami zbrodni anarchistycznych. Dziś położenie całkowicie się zmieniło. Dziś w Austryi niema śladu ruchów anarchistycznych. W Niemczech przekonano się, że ustawy wyjątkowe pomagają do skupiania kadrów socyalistycznych i do wzmocnienia ich dyscypliny, więc zniesiono prawo przeciw socyalistom za zgodą wszystkich grup parlamentarnych. W komisyi budżetowej prezydent policyi ani jednym argumentem poprzeć nie mógł przedłużenia stanu wyjątkowego lub wprowadzenia nowej ustawy anti-socyalistycznej. Ruch robotniczy postradał zupełnie cechy groźne. Jest on dziś walką o podwyższenie płacy i o równouprawnienie polityczne, a odbywa się w formach najlegalniejszych. Co więcej, zmiany społeczno-ekonomiczne weszły w program rządu i niemal wszystkich stronnictw politycznych, które zgodnie wyrażały życzenie, aby zniesiono ustawę wyjątkową, która tysiące obywateli ogranicza w swobodzie, poręczonej im przez statuty zasadnicze i otwiera szerokie pole przesadnej gorliwości urzędników. W takiej to chwili hr. Taaffe wnosi poraz trzeci ustawę socyalistyczną i po raz trzeci od przyjęcia jej czyni zawisłem zniesienie ustawy wyjątkowej. Wniosek jego parlament przyjął z uśmiechem, prasa z oburzeniem. Przypuszczano, że było to tylko powtórzenie manewru, użytego w r. 1885 i 1886 dla przedłużenia stanu wyjątkowego. Lecz zaledwie hr. Taaffe spostrzegł, jaki efekt wywołał, gdy nagle, zanim jeszcze nowa ustawa przyszła pod obrady, zniósł wyjątkową. Ustał zatem w Austryi stan, który słusznie nazwano „konstytucyą na słowo."

Niespodzianki takie, mające obudzić wiarę w dobroduszność kierownika gabinetu austryackiego, nie wstrzymują postępowych członków parlamentu od bliższego zbadania projektu. Jest on ułożony zupełnie w stylu patentów reakcyjnych z przed r. 1848. „Tworzenie stowarzyszeń, co do których faktami usprawiedliwione jest *przypuszczenie*, że *służyć będą* dążnościom socyalistycznym, usiłującym dokonać przewrotu istniejących stosunków państwowych lub społecznych, ma być zakazane." Podobnie inne paragrafy żądają, aby wszystko było zakazane, rozwiązane, pod nadzór policyjny oddane, aresztowane lub wydalone, skoro tylko usprawiedliwione jest *przypuszczenie*, że gdzieś w głębi ukrywają się dążności socyalistyczne.

Niejako dla zjednania oburzonych umysłów wniósł rząd w parę dni później projekt urządzeń skierowanych ku utworzeniu zgody między przedsiębiorcami przemysłowymi a robotnikami. Według tej ustawy powstać mają trzy instytucye: wydziały robotnicze, organizacye korporacyjne przemysłu fabrycznego i urzędy rozjemcze. Instytucye te pozostawać mają w związku, tworząc całość organiczną. Wydziały zawiadamiać będą przedsiębiorców o życzeniach robotników i dążyć do zgodnego załatwiania kwestyj spornych. Istnieć mają wszędzie, podczas gdy organizacya korporacyjna wprowadzona zostanie przez ministerstwo handlu tam, gdzie stosunki jej wymagać będą, a zatem w okręgach, w których skupia się pewna gałąź przemysłu. Organizacya ta składać się ma z dwu ciał: z korporacyi przedsiębiorców i z korporacyi robotników. Do pierwszej wchodzić ma każdy przedsiębiorca, druga zaś składać się z delegatów wydziałów robotniczych. Celem organizacyj tych będzie przestrzeganie interesów ekonomicznych obu grup. Najwyższą wreszcie częścią składową nowej organizacyi będą urzędy rozjemcze, tworzone z przedsiębiorców i z robotników, a mające osiągnąć rychłą zgodę co do warunków kontynuowania pracy podczas sporów o płacę. Obradować będą ustnie z wykluczeniem jawności, lecz w formach zupełnie dowolnych. Koszty wszystkich trzech instytucyj pokryte być mają ze składek członków organizacyj korporacyjnych.

Na tem kończymy sprawozdanie o społecznych reformach, na które zanosi się w ustawodawstwie austryackiem, aby przejść do zmian, które odbyły się w życiu politycznem. Są to zmiany ważne i stanowcze, acz nie niespodziewane. Zabiegi hr. Taaffego w celu pozyskania sobie lewicy odniosły wreszcie skutek po kilkumiesięcznych układach, w ciągu których kilkakrotnie

---

KNUT HAMSON. *)

GŁÓD.

Rozdział I.

Było to wtedy, kiedy głodny kręciłem się po Chrystyanii, po owem dziwnem mieście, które nikogo nie puszcza, nie wycisnąwszy na niem uprzednio pewnego piętna.

Nie śpiąc, leżałem w izdebce mojej na poddaszu, słyszałem, jak na dolnem piętrze zegar szóstą wybił godzinę; już dniało i ludzie zaczynali biegać po schodach, to na dół, to na górę. U skraju moich drzwi, wylepionych starymi numerami *Gazety porannej*, czytałem ogłoszenie latarnika i zatłuszczony anons piekarza Fabiana Olsena o świeżym chlebie.

Otworzywszy powieki, z przyzwyczajenia zacząłem rozmyślać nad zagadnieniem, czy też dzień dzisiejszy przyniesie mi cokolwiek, z czego będę się mógł radować. W ostatnich czasach źle mi się działo: ruchomości moje przewędrowały, sztuka za sztuką, do „starego"; stałem się nerwowy, niecierpliwy; wskutek zawrotu głowy musiałem już był nawet parę razy w łóżku pozostać. Jeżeli się poszczęściło, dostałem tu i owdzie pięć koron za fejleton w jakiemś piśmie.

Dzień wschodził coraz jaśniejszy, zaczynałem odczytywać już i dalsze anonse; odróżniałem nawet kościste, zgrzytające litery ogłoszenia: „Bielizna śmiertelna u panny Andersen, w bramie, na prawo." Ogłoszenie to zajmowało mnie dosyć długo; na dole biła ósma, kiedy wstałem i ubrałem się.

Następnie otworzyłem okno i wyjrzałem. Z okna widziałem sznur do bielizny i odkryte pole; dalej paru robotników uprzątało gruzy po jakiejś spalonej kuźni. Oparłem łokieć na listwie od okna i patrzyłem w dal. Dzień zapowiadał się ładnie; była już jesień, owa łagodna, chłodna pora roku, w czasie której wszystko zmienia barwę, a potem zanika. Szum, wrzący w mieście, wabił mnie na ulicę; pusta izba, gdzie podłoga zapadała się pod każdym krokiem, była ponurym grobem; ani w niej zamka porządnego u drzwi, ani pieca; na noc zwykłem był zatrzymywać skarpetki na nogach, ażeby rano mniej były wilgotne. Jedynym sprzętem, który sprawiał mi niejaką przyjemność, była mała, czerwona kołysanka, na której siadywałem wieczorami, myśląc i marząc o najrozmaitszych rzeczach. Kiedy zawiał ostry wiatr, a na dole drzwi były otwarte, po przez podłogę i ściany przedostawały się różne, dziwnie do jęków podobne dźwięki. Na *Gazecie porannej* znaczyły się natenczas rysy długie, jak ręka.

Podniosłem się i przeszukałem tłomoczek, leżący po za mojem łóżkiem; sądziłem, że znajdę w nim cokolwiek na śniadanie, lecz napróżno; potem podszedłem znów do okna.

Bóg raczy wiedzieć — myślałem sobie — czy uda mi się otrzymać jakąś posadę. Pokaźna ilość odmownych odpowiedzi, połowiczne obietnice, otwarte „nie," nadzieje żywione i zawiedzione, nowe próby, kończące się zawsze niczem — wszystko to ostatecznie zabiło moją odwagę. W końcu szukałem był już i miejsca roznosiciela pieniędzy, przyszedłem za późno, a i o kaucyę pięćdziesięciu koron nie byłbym się mógł

*) Skandynawski ten autor, nieznany dotychczas w literaturze naszej, należy do najoryginalniejszych umysłów, a ta jego powieść do najoryginalniejszych utworów piśmiennictwa współczesnego. Wbrew też zwyczajowi *Prawdy* zamieszczamy w niej opowiadanie szerszych rozmiarów. Uprzedzić winniśmy, że *Głód* nie jest obrazem społecznym, ale fizyologiczno-psychologicznym. Hamson w mistrzowski sposób przedstawia wpływ głodu na całą sferę psychiczną człowieka, na jego rozum, wyobraźnię i wolę. Czytelnik spotka tu objawy zdumiewające, a jednak prawdziwe. Bo, podobno cały ten dziwny a ciekawy proces obserwował autor — na sobie. *Red.*

zgodę uważano już za rozbitą. Stosunki parlamentarne od kilku tygodni zmieniły się nie do poznania. W wydziałach i komisyach zasiadają Plener, Herbst, Menger i Beer jako prezydenci i referenci, lewica oświadczyła w komisyi budżetowej, że głosować będzie za funduszem dyspozycyjnym, a hr. Taaffe w pełnej Izbie stwierdza ze „szczególnem zadowoleniem,“ że i lewica przyczynia się do przeprowadzenia programu wyrażonego w mowie tronowej i sypie grzeczności „wytrawnym fachowcom i znakomitościom“ stronnictwa niemiecko-liberalnego. Równocześnie dzienniki tego stronnictwa dobierają najprzyzwoitszych, a nawet najsłodszych wyrazów, ile razy wypadnie im wspomnieć o Jaworskim lub Bilińskim, a jeno przed Dunajewskim żegnają się ciągle jeszcze. Dziwny zbieg okoliczności zmusza je jednak równocześnie pośrednio uznawać względne jego zasługi dla finansów austryackich. Budżet tegoroczny jest najpomyślniejszym, wniesionym dotąd w parlamencie austryackim. Stwierdził to referent generalny komisyi, Biliński, uznali toż samo Plener i jego towarzysze, a wobec tego nawet główny organ lewicy wychwalać go musi. Na budżecie tym podpisany wprawdzie obecny minister Steinbach, lecz wiadomo wszystkim członkom parlamentu, że złożony Radzie państwa w kwietniu r. b., wykazujący przewyżkę bezpośrednią około 4 milionów zł. r. przyjęty przez komisyę bez zmiany, jest tym samym, który w grudniu r. z. przedstawił dr. Dunajewski, a o którym pisała *N. Fr. Presse*, że „Niemcy zrzucają z siebie wszelką odpowiedzialność za taką politykę finansową.“

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Lato dało już znak maszynom politycznym do zwolnienia ruchu lub zatrzymania się, a w łożyskach prasy widać wysychanie potoku świeżych nowin. Austryacka Rada państwa jeszcze klei swoją większość, nakładając na zlepek różnorodnych kawałków fornir niemiecki. Przedstawiciele Koła galicyjskiego wypierają się ścisłego związku z lewicą, lewica przysięga, że zachowała wolną rękę, ale oba te ciała robiąc wobec świadków obojętne względem siebie miny, ściskają się, gdy zostaną z sobą sam na sam.

Sejm pruski zamknął swoje obrady, pożegnany uroczyście przez króla, który mu podziękował za płodną pracę. Izba panów pod koniec swych posiedzeń zaburzyła się nieco pomrukiem konserwatystów. Jak wiadomo, ci panowie ogłaszają się stale wiernymi obrońcami tronu i ołtarza, ale dopóki pod tronem i ołtarzem widzą ukryty swój interes. Gdy go nie dostrzegą a zwłaszcza gdy dojrzą jakąś szkodę dla swego samolubstwa, natychmiast zaczynają „frondować.“ Doskonały ich pierwowzór, ks. Bismark, dopóki był kanclerzem, nazywał się „parobkiem (Knecht) swego pana“ i ustawicznie powtarzał, że nie rozumie innej polityki, prócz woli monarchy. Skoro go wysadzono z siodła, rozumie on teraz „obowiązek opozycyi przeciw rządowi.“ Za przykładem bożyszcza idą jego czciciele. Więc w pruskiej Izbie panów „junkrowie“ zaprotestowali przeciwko nowej ustawie o zarządzie gminnym i uderzyli na jej twórcę, ministra spraw wewnętrznych, Herfurtha, który jako biurowiec (Aktenmensch) budzi w nich obrzydzenie. Ale Wilhelm II nie usuwając ze swego parku tych wyniosłych starodrzewów, według przysłowia obcina im czuby i nie pozwala, ażeby pod niebo wyrosły. Naprzekór ich dąsom kilkakrotnie i wyraźnie ujawnił Herfurthowi swoją łaskę.

Bezzębnej Porcie dano znowu do zgryzienia kilka twardych orzechów. Nie licząc awantury z bandą Atanaziosa i trudu ścigania rozbójników, którzy mogą się okazać zbyt kosztowni, jeśli nie przestaną chwytać jeńców i pobierać wysokich okupów, musi Turcya załatwić niebagatelny spór między ministrami betleemskimi o prawa do schodów świątyni, stłumić rokosz w Yemenie, który rozszerza się coraz bardziej, a wreszcie wymyśleć coś przeciw... „federacyi bałkańskiej.“ Jest to najświeższy zalążek idei politycznej, który usiłują rozwinąć radykałowie serbscy łącznie z grekami. W tym celu Trikupis przyjechał do Belgradu, gdzie naradzano się nad sposobem urzeczywistnienia planu. Federacya ta ma się zwrócić „przeciwko Turcyi i Bułgaryi,“ nie będzie zatem plemienną, ale interesową. Najprawdopodobniej zaś nie będzie żadną. Pomysł jej jest wytworem wakacyjnym i wraz z latem zamrze.

Sprawa Turpina, skazanego na więzienie za zdradę tajemnicy wyrabiania melinitu fabryce angielskiej Armstronga, wywołała w Izbie francuskiej interpelacyę, na którą odpowiedział minister wojny. Zapewnił on, że sekrety środków obronnych Francyi nie wyszły po za jej granice, że w kołach wojskowych nie dopuszczono się żadnej niedyskrecyi, że Turpin nie rozpaplał wszystkiego itd. Twierdzenie to jednak przyjęto dość chłodno i z wyraźną niewiarą w ostrożność Freycineta. Nie ubezpieczył on tajemnic wojskowych dostatecznie i nie zwrócił należytej uwagi na knutą zdradę, której mógł był wcześnie i skutecznie zapobiedz.

Rozgoryczenie z tego powodu usiłowano osłabić wiadomością, że jakiś oficer francuski wynalazł przyrząd, pozwalający artyleryi celować nieomylnie z wielkich odległości. Jaki ten Mars musi być szczęśliwy i z obecnego pokolenia ludzi zadowolony! Co chwila składają oni na jego ołtarzu nowy sposób zabijania.

BADANIA NAUKOWE.

„NOWY DUCH“ W KARYKATURZE.

(Dokończenie).

Tak przedstawia się całość zapatrywań i wywodów psychologa francuskiego. Niepodobna zaprzeczyć, że charakterystyka dzisiejszej anarhii na polu artystycznem i naukowem, jaką znajdujemy u niego, jest najzupełniej słuszna. W tym względzie miał już dalekich poprzedników. S. Simon z całym naciskiem podniósł więcej niż przed półwiekiem wszystkie te fakty, co więcej, posunął się dalej, bo sprowadził je do głębszej przyczyny: anarchii przemysłu (tj. produkcyi) i zbudował genialną teoryę historyozoficzną. Dzieje ludzkości snują się dotychczas w bezustannym splocie okresów — krytycznego i organicznego. W ostatnim materyalne warunki bytu społecznego są w zgodzie z pożądaniami organizmu ludzkiego i pozwalają na wyłonienie stałych zasad moralnych. Atoli nieustający rewolucyonista, materyalne warunki bytu społecznego, zmieniają się z czasem, organizm ludzki z dawnemi zasadami moralności nie może znaleźć zaspokojenia w nowym ustroju, występuje krytyka: idei i pięści, aż póki myśl ludzka i ustawa prawno-polityczna nie zostaną dopasowane do zmienionych warunków. Dzisiejsza chwila jest

---

wystarać. Zawsze znalazła się jakaś przeszkoda. Stawiłem się do straży ogniowej. W przedsionku czekało nas z pięćdziesięciu: ażeby wywrzeć wrażenie odważnych siłaczów, naprężyliśmy się i wypięli piersi co do jednego. Uprawomocniony urzędnik obchodził rzędy, mierzył okiem pretendentów, dotykiem badał ich mięśnie, tu i owdzie zwracał się do któregoś z zapytaniem; przechodząc koło mnie, pokiwał głową i orzekł, że z powodu okularów, które noszę, nie mogę być przyjęty. Zgłosiłem się powtórnie, bez okularów; stałem ze zsuniętemi brwiami i spojrzeniem ostrem, jak brzytwa, a urzędnik przeszedł koło mnie i uśmiechnął się: poznał mnie! Najsmutniejszą rzeczą w całej tej historyi było, że ubranie moje tak się już wycierać zaczęło, iż, jako porządny człowiek, starać się w niem o posadę nie mogłem.

Jakże równiutko, prawidłowo osuwałem się coraz niżej! Nakoniec zbrakło mi najniezbędniejszych rzeczy; nie miałem grzebienia, nawet książki do czytania w chwilach bardzo smutnych. Przez całe lato chodziłem na cmentarze, albo do parku zamkowego, siadywałem i pisałem artykuły do dzienników, szpaltę za szpaltą; przelewałem na papier najdziwaczniejsze pomysły, kapryśne płody niespokojnego mózgu; w rozpaczy wybierałem częstokroć najendaczniejsze tematy, nad któremi męczyłem się długo i których w następstwie nie przyjmowano. Ukończywszy jeden, brałem się do drugiego; odmowa redaktora rzadko odejmowała mi otuchę; powtarzałem sobie zawsze, iż raz przecież udać się musi. I rzeczywiście, kiedy czasami zdarzyło mi się sklcić coś porządnego, praca jednego popołudnia przynosiła mi pięć koron.

Znowu odszedłem od okna, przystąpiłem do miski i pokropiłem kolana wodą, ażeby spodniom nadać blask czarniejszy i świeższy. Poczem, jak zwykle, wsunąłem trochę papieru i ołówek do kieszeni i wyszedłem. Cichutko ześliznąłem się ze schodów, ażeby nie zwrócić na siebie uwagi gospodyni; termin na opłatę komornego od paru dni już minął, a dotychczas pieniędzy na pokrycie należności nie miałem.

Była godzina dziewiąta. Powietrze szumiało turkotem kół i dźwiękiem głosów ludzkich, które zlewając się w potężny chór poranny, mieszały się z szelestem stąpań i trzaskiem biczów. Szum i ruch ożywiły mnie natychmiast, zaraz też uczułem większy spokój i zadowolenie. Ani pomyślałem przedtem o przechadzce na świeżem powietrzu! I na cóż płucom moim mogło się zdać powietrze? Byłem silny jak olbrzym, na barkach wóz mogłem dźwignąć. Owładnęło mną ciepłe, dziwne uczucie, uczucie pogodnego niebytu trosk i kłopotów. Zacząłem obserwować przechodniów; czytałem plakaty na murach, łowiłem tu i owdzie rzucone na mnie z tramwaju spojrzenie, poddawałem się wrażeniu każdej drobnostki, pochłaniałem wszystkie owe małe fakciki, które, zaledwie nasunąwszy mi się, znikały.

Gdyby to jeszcze w tak piękny dzień mieć coś do zjedzenia! Piękność poranku tak silnie na mnie oddziałała, że wpadłem w niepohamowaną wesołość i z radości zacząłem sobie przyśpiewywać. Przed jatką z mięsem stała kobieta, na ramieniu zawiesiła koszyk; chciała rozprzedać kiełbasy na obiad; kiedym ją omijał, spojrzała na mnie. Miała tylko jeszcze jeden przedni ząb. Zdenerwowanie i wrażliwość — wynik ostatnich paru dni — sprawiły, że twarz kobiety odrazu wstręt we mnie wzbudziła: długi, żółty ząb wyglądał jak mały palec, sterczący w szczęce; w spojrzeniu widziałem — kiełbasę. Straciłem natychmiast apetyt, uczułem mdłości. Obok bazaru przystąpiłem do studni i napiłem się trochę wody; spojrzałem w górę, na wieży była dziesiąta.

I wlokłem się dalej po ulicach, bez potrzeby stanąłem na jakimś rogu, bez celu w boczną skręciłem uliczkę; wałęsałem się, używając w ten sposób rozkosznego poranku, bezmyślnie płynąłem z tłumem innych szczęśliwych ludzi; powietrze było lekkie i czyste, żadna chmurka nie mąciła mego umysłu.

Od dziesięciu minut kroczył przede mną jakiś kulawy staruszek. W jednej ręce

właśnie takim przełomem. Usunięcie anarchii rynku i celowe poprowadzenie produkcyi usunie wszelką inną anarchię, sprowadzi trwałą etykę i umożliwi syntezę, wreszcie stworzy nową powagę społeczną — w ścisłej wiedzy. Uczeń S. Simona, August Comte, w swojej *Filozofii pozytywnej*, która jest jedynie plagiatem zasadniczych twierdzeń jego mistrza, rozwinął wiele z tych zapatrywań i myślom ogólnikowym nadał formę zmysłową.

Zatrzymaliśmy się nad przeszłością daleką, po pierwsze aby wykazać, że są rzeczy, o których inteligencya mieszczańska dopiero teraz mówi, tymczasem kiedy różni „utopiści“ dawno je uwydatniali; powtóre, że to cofnięcie się wstecz odsłania nam głębsze źródło dzisiejszej anarchii umysłowej i moralnej — anarchię produkcyi. Przejdźmy teraz do rzekomych rysów nowego ducha. Społeczeństwo dzisiejsze, jakkolwiek jego jednostki są związane z sobą nierozplątanymi więzami podziału pracy, w rozumieniu podmiotowem osobnika wygląda na mechaniczne zbiorowisko walczących i niezależnych od siebie atomów. Kiedy się ono rodziło, to swoje dążności „indywidualistyczne“ przybrało w hasła ogólnoludzkiego dobrobytu. Obiecywało, iż skoro równość i wolność staną się dobytkiem społecznym, każdy, idąc za swojemi pragnieniami, dojdzie do największego szczęścia. Ze stanowiska tych ogólnych idej krytykowało ono wszystko, co napotkało. Słowem, miało ideały, syntezę, moralność. Wreszcie zasady zostały wcielone w życie. Jednostka podmiotowo jest przeciwstawiona wszystkim innym i w nieustającej z nimi walce. Etyka pięści, uświęcona „postępowością“ walki o byt w rozwoju świata organicznego, stała się podstawą postępowania. Życie społeczne, pełne zapasów i niepewności, wniosło w łono jednostki odpowiednie zatargi; organizm np. ma swoje potrzeby fizyczne, umysłowość swoje znowu wymagania etyczne. Tymczasem jedne zostają przeciwstawione drugim i wytwarzają piekło w duszy osobnika. Czy można tu mówić o jakiejś syntezie moralnej, stałych zasadach postępowania? Paulhan czyni słuszną uwagę, że łatwiej określić teraz obowiązki doktora, niż człowieka! Do tego dodalibyśmy, że dzisiejsze społeczeństwo klasowe, etykę ludzką, ogólno-społeczną, zastąpiło kilku etykami klasowemi. Lecz ono nie jest czemś niezmiennem! Rozwijające się życie społeczne stwarza metody produkcyi, wymagające zrzeszeń i solidarności, jako podstawy wytwarzania dóbr materyalnych i tłumom wydziedziczonym wskazuje w przeszłość tę drogę, jako jedyne wyjście z nędzy. Po tym podkładzie toczą się dzisiejsze prądy klasowo-najmickie. Pełne wiary w przyszłość, przejęły one wszystkie zdobycze przeszłości: wolność indywidualną sumienia, swobodę od więzów mistycznych, konieczność ścisłej nauki. Jest to ruch nawskroś trzeźwy, posługujący się przedewszystkiem analizą i metodą historyczną. Na spirytyzmy, agnostycyzmy patrzy on nie jako na zapowiedź przyszłości, lecz jak na pozostałość przeszłości. Wiedza rozbiła dawne wierzenia, lecz nie zniszczyła właściwych a głęboko zakorzenionych w organizmie uczuć, które usiłują znaleźć dla siebie treść mistyczną, zgodną z założeniami nauki. Oto ich źródła! Nadto, odosobnienie, w jakiem żyje jednostka, niemało przyczynia się do odczucia strat po ukochanych osobach, a następnie do dzierganie mistycyzmów; w społeczeństwie solidarnem, gdzie natężenie uczuć rodzicielskich i płciowych będzie znacznie osłabione dzięki samemu ukształtowaniu rodziny i instytucyj pedagogicznych, to źródło mistycyzmu ulegnie silnie zanikowi. Tymczasem zgodnie z dzisiejszym porządkiem rzeczy hasła jednej klasy są często wprost niezrozumiałe i nieznane dla innej. Weźmy burżuazyę francuską. „Równość,“ „swoboda,“ w dzisiejszem rozumieniu tych słów, są to zasady otoczenia, w którem ona wzrasta i dzięki którym znajduje się w dobrobycie. Hasła te wydają się jej prawami wiecznemi. Przedstawimy teraz sobie wrażliwsze umysły w jej łonie, uznające, że z owej „swobody“ rodzi się jedynie nędza z prawem pięści i ucisku duszy indywidualnej. Godła, tak szczytne u prarodziców, będą teraz dla prawnuków złudą. Równość zawiodła, wolność zadrwiła. A tutaj „dusza“ wymaga syntezy, łaknie solidarności! Pesymizm, dekadentyzm, symbolizm są ponickąd następstwem tej pogoni za ideałem, a jednocześnie zwątpienia o jedynie dostępnych ideałach mieszczańskich. Dodajmy, że pogoń ta odbywa się w organizmie fizycznie nasyconym mającym czas do analizy i dzięki klasowemu swemu otoczeniu skłonnym do chorobliwej oryginalności. Pustka życiowa oraz szukanie tej oryginalności doprowadzają często do szałów i dziwnego kojarzenia pojęć... Inni słyszą znowu o jakiejś kooperacyi i kolektywizmie. Ten i ów chwyta te nawoływania, związuje ze swoją teozofią, pragnieniem syntezy, z obłędem symbolistycznym. Powstaje chaos, istotnie „mistyczny.“ Dodajmy, że owe dążności społeczne i myślowe są właściwe zwłaszcza naturom histerycznym, które często szukają w różnych hasłach narkotyku dla siebie i które nawet żelaznemu prawu zarobków nadają szczególną postać „powabną.“ A teraz pomieśćmy wśród tej rzeszy sprawozdawcę w rodzaju Paulhana. Nie zna on zdrowych i trzeźwych ideałów klasowo-najmickich. Spotyka je jedynie w postaci tych ogników, jakie przedostały się do jego otoczenia, a pełnych niezdrowego histeryzmu. Widzi przed sobą teozofie i mistycyzmy naukowe. Jako psycholog czystej krwi szuka wyjaśnienia jedynie w psychologii i zapoznaje podkład społeczny. Łącznie z temi dążnościami spostrzega symbolizm, wszędzie zaś pragnienie ideału, syntezy, niechęć ku „bezstronnej“ nauce, która w ten sposób ukrywa często swoje sobkostwo mieszczańskie. Te różne objawy klasowego rozkładu burżuazyi, dążeń najmickich, pustki życiowej układa on razem — jako pierwiastki „nowego ducha“ Istotna karykatura, w której tyle jest tylko prawdy, że „nowy duch“ oprze się na ideale i harmonii!

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

A. Lewandowski. *Na gołoledzi*, powieść. 1891.

Na śliskiej gołoledzi występnego uczucia stawia autor człowieka uczciwego i myślącego. Alfred Zabiorski pochodzi z rodziny bogatej, utracił dobrobyt w latach młodych jął się nauki i pracy, a posiadając inteligencyę, dobił się samodzielnie majątku. W charakterze jego widzimy pierwiastki dodatnie, szczerość, zaufanie do ludzi—zbytnia nawet, często bowiem wyzyskiwany, wylany jest i uczynny, każdemu spieszy z pomocą, umie cenić poważne przymioty ducha; na dnie jednak natury jego spoczywają skłonności i nałogi, zdradzające człowieka z klasy, do pieszczot losu nawykłej, bywa rozrzutny i skłonny do lekkich, po-

---

trzymał tłomoczek, chodził całem ciałem, pracował ze wszystkich sił, aby tylko zajść dalej. Słyszałem, jak sapał zę zmęczenia i pomyślałem sobie, że mógłbym mu ponieść tłomoczek; lecz nie próbowałem nawet doścignąć biedaka. Dalej spotkałem Jana Pauli: ukłonił się i prędko mnie ominął. Po cóż tak się spieszył? Ani mi się śniło prosić go o koronę, a kołdrę, którą przed paru tygodniami od niego pożyczyłem, miałem zamiar odesłać mu jaknajrychlej. Może dzisiaj jeszcze uda mi się rozpocząć artykuł „O przestępstwach przyszłości,“ albo „O wolnej woli,“ coś innego wreszcie, godnego przeczytania: może dostałbym za to z dziesięć koron. Pomyślałem i jednocześnie uczułem potrzebę natychmiastowego rozpoczęcia pracy; chciałem czerpać z pełnego mózgu; na górze w parku obejrzę się za odpowiedniem miejscem i nie wytchnę, póki artykułu nie ukończę.

Ale przede mną chromał jeszcze ciągle stary kaleka. Widok ten w końcu zaczynał mnie już gniewać. Zdawało się, że wędrówka jego nie ma granic; może do jednego zdążaliśmy celu; w takim razie miałbym go przed oczami przez całą drogę. W irytacyi zdało mi się, jakoby stary na każdym skręcie zwalniał kroku, niby badając, dokąd ja podążę, poczem znowu podnosił tłomok i co sił wlókł się naprzód, aby wyprzedzić mnie o kawał drogi. Patrząc na to ułomne stworzenie, coraz większej w sercu doznawałem goryczy; czułem, jak widok ten rozdzierał pogodną moją szczęśliwość, jak brzydotą swoją mącił mi czysty i piękny poranek. Stary wyglądał, jak wielki, skaczący owad, który całym ciężarom swego ciała przygniata miedzę a dany skraj ziemi tylko sobie pragnie zatrzymać. Stanąwszy na górze, dłużej widoku tego znieść nie mogłem; zatrzymałem się przed oknem wystawowem, dając kalece możność wyprzedzenia mnie o znaczną odległość. Kiedy po upływie paru minut znowu puściłem się w drogę, stary znajdował się tuż przede mną — i on się zatrzymał. Wściekły dogoniłem go paru susami i uderzyłem w ramię.

Zatrzymał się natychmiast. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Szeląga dajcie panie na mleko! — powiedział wreszcie, skłaniając głowę na bok.

Ha, dobrze mi tak! Poszukałem w kieszeniach i rzekłem:

— Na mleko—tak! Hm! Pieniądze dzisiaj są drogie, a nie wiem, czy istotnie potrzebujecie.

— Od wczoraj nic nie jadłem — odparł stary. Nie mam szeląga przy duszy, a i roboty jeszcze nie znalazłem!

— Jesteście rzemieślnikiem?

— Iglarzem.

— Czem?

— Iglarzem. Zresztą i buty szyć potrafię.

— To co innego — odparłem. Poczekajcie tu parę minut, przyniosę wam trochę pieniędzy, kilka ocrów.

Co sił pospieszyłem w dół ulicy Pile, gdzie na drugiem piętrze mieszkał zastawnik. U tego nigdy jeszcze nie byłem. W bramie prędko zrzuciłem kamizelkę, zwinąłem i wsadziłem ją pod ramię; potem wszedłem na wschody i zapukałem do budy. Ukłoniłem się i rzuciłem kamizelkę na stół.

— Półtora korony — brzmiała odpowiedź.

— Dobrze — odparłem. Gdyby nie to, że jest za ciasna, nie oddałbym jej naturalnie.

Wydał mi pieniądze i kwit zastawny, poczem udałem się w powrotną drogę. Cała ta historya z kamizelką była właściwie doskonałym pomysłem; zostanie mi jeszcze pieniędzy na obfite śniadanie, a przed wieczorem rozprawa moja „O przestępstwach przyszłości“ również będzie ukończona. Natychmiast życie przedstawiło mi się w przyjemniejszych barwach i pospieszyłem do staruszka, aby prędzej się go pozbyć.

— Proszę — rzekłem. Cieszy mnie, że przedewszystkiem zwróciliście się do mnie.

Stary wziął pieniądze i zaczął mi się przyglądać. Czegóż wytrzeszczył na mnie oczy? Zdawało mi się, że najwięcej przygląda się moim kolanom i bezczelność ta oburzyła mnie. Cóż ten dureń myślał, że

wierzchownych uczuć. Ożenił się nie z miłości, raczej skłoniony szacunkiem, jaki obudził w nim szlachetny charakter kobiety, którą pojął za żonę. Uczucie to jednak nie okazało się dostateczną tarczą przeciw miłości zmysłowej, jaką wzniecila w nim inna kobieta. Ida Konicka jest to istota, lubiąca przedewszystkiem gwar świata, natura płytka i zmysłowa, obdarzona jednak sprytem i inteligencyą przy wdziękach i powabach zewnętrznych posiada wiele uroku dla mężczyzn. Zastaje kochanką bohatera. W tym stosunku on zdradza żonę dobrą i przywiązaną, ona męża który, jeśli sądzić możemy, również na to nie zasłużył. Ponieważ autor usiłuje utrzymać bohatera swego na dość wysokim poziomie moralnym i umysłowym, cały więc ten stosunek wydaje się nader słabo wytłomaczonym. Zaliwski głęboko odczuwa powaby swego ogniska domowego, a jednak nie tylko wyrzeka się ich dla kochanki, lecz nadto lekceważy obowiązki i cały dobrobyt rodziny naraża na zniweczenie skutkiem nieopatrznych wydatków. Uczucie swe bierze zupełnie na seryo, od Idy wymaga miłości stałej i spodziewa się, że zostanie ona jego podporą moralną, do jakiego zaś stopnia ślepy jest na istotną tej kobiety wartość wskazuje następująca okoliczność. W czasie czułego sam na sam po wzajemnem wyznaniu miłości Ida snuje projekty na przyszłość i maluje perspektywę ich miłości. „A teraz porzućmy na chwilę sentymenty i pomówmy spokojnie, jak dalej nasze życie i stosunek nasz ukształtować należy.“ I następnie słyszymy z ust tkliwej kochanki wykład praktyczny, najwidoczniej owocem doświadczenia będący, z tem, jak najdogodniejszą i najprzyjemniejszą formę związek swój ująć mają. „Przezacny pan Alfred wyszuka dla „kochanka i kochanki“ jakiej „chatki pustelnika,“ abyśmy zdala od podejrzliwych oczu ludzkich mogli dalej prowadzić ze swobodą te gawędy, rozpoczęte pod osłoną głuchej i ślepej leszczyny i poić się rozkoszą pieszczot i uścisków, których zadatek w tej chwili mu składam. Dalej, w oznaczonej godzinie, codziennie, pan Alfred będzie czekał „u nas“ na swoją Idę, która, w czasie kiedy mąż jest w biurze, niby za ważnym interesem, za sprawunkami, na miasto wychodzić będzie z domu, trzy razy do drzwi zapuka i takim całusem go powita.“ Mieszkanie zostanie odpowiednio przybrane i — „wśród ciepła i odurzającego zapachu kwiatów zapomnimy o rzeczywistości“! Ustęp ten jest wyśmienity, jeśli szło o charakterystykę wyrafinowanej metresy, bohater jednak jest przezeń fatalnie skompromitowany, rozsądek jego bowiem zostaje nieczuły nawet na tak brutalne szarpnięcie, wstrętne moralne obrażenie kobiety nie wystarcza dla zdarcia łusk z oczów zakochanego. Z czasem dopiero dowiedział się, iż bynajmniej nie był kochany. Zjawia się poprzednik, który drogę zdrożnej miłości do serca Idy wcześniej utorował i bez trudności wstępuje w prawa pierwszego zdobywcy, usuwając Alfreda z nieprawnie objętego stanowiska. Jakkolwiek spóźnione rozczarowanie źle świadczy o jego przenikliwości, skrucha jednak, przyznanie się do winy przed żoną i chęć naprawienia złego przemawia na jego korzyść. Jako wzorowy gentlemen poświęcił swój majątek dla ocalenia honoru Idy, należało znacznemi pieniędzmi okupić milczenie kobiety, w której mieszkaniu znaleźli oboje swoją „chatkę pustelnika.“ Po zerwaniu tego stosunku, bohater raz jeszcze z całą energią bierze się do pracy dla odzyskania majątku, i — oparzony płomieniem postanawia do końca życia zadawalać się umiarkowanem ciepłem ogniska rodzinnego. Nad Idą zemścił się oblewając ją obficie strumieniem pogardy i z całą otwartością odmalowawszy przed nią jej mizerny wizerunek. Poskutkowało to nad wszelkie spodziewanie i po latach widzimy Idę, jako wzorową żonę i matkę, z całego ustroju jej domu wieje — jak upewnia nas autor — patryarchalny spokój rodzinny. Ida więc — jak uczy nas to rozwiązanie — posiadała skłonności dobre, stłumione tylko złym wpływem moralnym rozpustnika, który zaszczepił jej jad zepsucia. Nie trudno jednak wymiarkować, że zarówno ona, jak i bohater powieści w nader małym stopniu ulegli rozbiorowi psychologicznemu ze strony autora. Jeśli zaś osoby powieści ani prawdą, ani plastyką nas nie pociągają, to wątek jej mniej jeszcze zaciekawia. Zużyty on jest nad wyraz wszelki, do tego stopnia, że nikt już nie zdoła wymyślić nowej kombinacyi, któraby owe trzy wielkości, z sobą powiązane: męża, żonę i kochanka, lub kochankę, okazała w nowem oświetleniu etycznem. Wszelkie kombinacye i oświetlenia zostały już wyczerpane. Ponieważ jednak jeden i ten sam wątek w życiu powtarza się z nigdy nieskończoną odmiennością szczegółów, więc i powieść budzić może interes, o ile subtelnie się je dobywa i wiernie odtwarza; zalet tych jednak utwór p. L. nie posiada. Autor pisze z myślą i to — sympatyczną, mało atoli zaciekawia.

Z. Gloger, *Popas w Sławopolu*, Warszawa.

Sławopole jest to wieś idealna, żadna jednak nowa utopia, żaden nowy ustrój, po prostu zakątek kraju wzorowo urządzony w warunkach, niewyłamujących się z dzisiejszego porządku rzeczy. Zalety sławopolan są prostem przeciwstawieniem wad właściwych mieszkańcom pierwszej lepszej z prawdziwych Wólek lub Kozic, urządzenia zaś, jakie w nich spotykamy, wykazują niektóre niedostatki życia wioskowego. Unikając trudności, jakie nastręcza krytyka danych urządzeń, książeczka podaje wzorzec rozmaitych urządzeń życia, możliwość osiągnięcia ich, warunkując dobrą wolę ludności wiejskiej. Autor ma na widoku niewielkie i względnie łatwe do osiągnięcia ulepszenia, słusznie więc pokłada nadzieję w samodzielnych usiłowaniach ludności wiejskiej i wprost dąży do tego, aby przykładami, jakie podaje, obudzić wiarę w skuteczność nawet pojedynczych — byle wytrwałych, umiejętnych i dobro ogółu na celu mających — wysiłków. Rozsądnie i przekonywająco przedstawia wartość pracy, korzyści moralnego postępowania, uwagi swe przeplatając często zdrową, praktyczną radą. Przechadza się p. G. po Sławopolu w towarzystwie jednego z jego mieszkańców, Scibora, który opowiada mu po kolei dzieje każdego gospodarza. Sam Scibor jest przykładem nieszczęść, jakie przypadają w udziale łatwowiernemu emigrantowi, który opuścił kraj, nasłuchawszy się bajek o raju brazylijskim. Wojciech Bożywój otrzymał w spadku zadłużoną ojcowiznę, z rąk jednak jej nie wypuścił, pracował, oszczędzał, długi spłacił i przy ziemi się utrzymał. Kazimierz Sokolik ukończył szkoły i uniwersytet, to mu nie przeszkadzało powrócić dobrowolnie na wieś, osiąść pośród chłopów i pracować przy roli, wiedzę swą oddając na użytek współwioskowców Maciej Cholewa jest wzorem oszczędnego, rachunkowego gospodarza. Przykładem Wojsława zachęca autor do zakładania sadów i ogrodów, a Jankowskiej — do zakładania tanich chrześciańskich sklepików itp. W Sławopolu niema karczmy, tylko gospoda, w której znaleźć można czasopisma i gdzie sprzedają nierozpalające napoje owocowe. Szkoła połączona jest

---

istotnie jestem takim biedakiem, na jakiego wyglądam? Czyż artykuł za 12 koron nie był prawie zaczęty? Wogóle nic bałem się przyszłości i miałem wiele nadziei. Cóż więc mogło obchodzić obcego człowieka, że w tak piękny dzień daję mu napiwek? Jego spojrzenie gniewało mnie, postanowiłem skarcić go przed odejściem. Wzruszyłem ramionami i rzekłem:

— Mój dobry człowieku, to niegrzecznie z waszej strony wytrzeszczać oczy na czyjeś kolana wtedy, kiedy wam się daje koronę!

Oparł głowę o mur i otworzył usta. Coś tam pracowało w tym żebraczym mózgu, myślał pewnie, że chcę go podejść i zwrócić mi koronę.

Uderzyłem nogą o ziemię i zakląłem, ażeby pieniądze zatrzymał. Cóż to on myślał, że naprożno się trudziłem? Być może, iż jestem mu nawet winny tę koronę; pamiętam, że mam dawne długi; niech wie, że stoi przed człowiekiem, który do szpiku kości jest uczciwy. Słowem, te pieniądze są jego własnością... O, niema za co dziękować... Przyjemność jest po mojej stronie! Adieu!

Poszedłem. Nareszcie więc oswobodziłem się od tego kaleki — nudziarza; nikt mi już nie przeszkadzał. Znowu kroczyłem wzdłuż ulicy Pile; zatrzymałem się przed sklepem spożywczym. W oknie leżało rozmaite jadło, postanowiłem wejść, ażeby wziąć sobie cokolwiek na drogę.

— Sera i chleba! — rzekłem, rzucając pół korony na stół.

— Za wszystko chleba i sera? — zapytała kobieta ironicznie, nie patrząc na mnie.

— Tak, za całych pięćdziesiąt oerów! — odparłem.

Dano mi, czego żądałem; pożegnałem starą, tęgą babę nadzwyczaj uprzejmem życzeniem dobrego dnia i lotem ptaka puściłem się w drogę do parku. Poszukałem sobie wolnej ławki i chciwie wziąłem się do jedzenia. Jak mi to dobrze robiło! Od dawna nie miałem już tak obfitego posiłku; stopniowo zacząłem uczuwać ten sam pełny, ciężki spokój, jakiego doświadczamy po płaczu. Odwaga moja wzmagała się potężnie, nie wystarczał mi już artykuł „O przestępstwach przyszłości“; treść tego artykułu każdy odgadnąć, każdy z historyi powszechnej wyczytać może; czułem siły do podjęcia większego zadania, znajdowałem się w nastroju, który pozwoliłby mi zwalczyć większe, istotne trudności; zdecydowałem się tedy na rozprawę w trzech częściach: „O poznaniu filozoficznem.“ Naturalnie rozbiję przy tej sposobności parę sofistycznych twierdzeń Kanta. Kiedy wreszcie wydobyłem papier i chciałem rozpocząć robotę, spostrzegłem, że nie mam ołówka. Został w lombardzie, w kieszeni kamizelki.

Boże mój, jakżeż to wszystko idzie niby po grudzie! Zakląłem parę razy, podniosłem się z ławki i zacząłem wałęsać się po różnych ścieżynach. Wszędzie cisza; trochę dalej, nieopodal zamku królewskiego, kilka niańek wiozło dzieci w wózkach, zresztą nigdzie nikogo! Byłem bardzo rozgoryczony i jak waryat biegałem przed ławką, tam i napowrót. Wszystko szło mi jak z kamienia. Artykuł rozbijał się o to, że nawet nie miałem ołówka za 10 oerów w kieszeni. A gdyby tak wrócić do lombardu i odebrać ołówek? Potem zawsze będzie jeszcze można sporo napisać, zanim spacerowicze w parku zbierać się zaczną. A ileż taka rozprawa „O poznaniu filozoficznem“ przynieść mogła pożytku; od niej zależało może szczęście wielu, kto wie! Przydać się może kilku młodym ludziom! Dobrze rzecz przełożywszy, postanowiłem nie zbijać Kanta; można przecież tego uniknąć; należało tylko nieznacznie obejść kwestyę czasu i przestrzeni; za to zrąbię Renana, starego księdza (?) Renana... W każdym razie należało napisać artykuł o tylu i tylu szpaltach; nieopłacone komorne, wzrok gospodyni, którą rano na schodach spotkałem, męczyły mnie dzień cały, trując mi wesołe godziny nawet wtedy, kiedy innych przykrych myśli nie miałem. Temu raz na

z ochroną, w której latem, rodzice oddalając się na cały dzień do roboty, zostawiają drobne dzieci pod opieką ochronki. Przy szkole — wzorowy sad, ogród i pasieka. W zimie odbywają się odczyty, miewa je nauczyciel lub jeden z wykształconych gospodarzy, są one treści moralnej lub dotyczą rzeczy, najbliżej obchodzących gospodarza. Istnieje w Sławopolu straż ogniowa, na ostatku zaś zaznacza autor, iż sławopolanie urządzili sobie miejsce osobne dla zebrań w lecie, odbywają się tu wiece gminne, przeglądy straży ogniowej, oraz zabawy młodzieży wiejskiej, które w życzeniach autora przypominają niecco publiczne zapasy i ćwiczenia młodzieży w dawnej Sparcie. Książeczka, w sferze, dla której jest przeznaczona, może być czytana z pożytkiem.

—o—

LITERATURA FRANCUSKA.

J. I. Weiss dziennikarz i krytyk. — Stosunek krytyki analitycznej do krytyki subjektywnej. — Faguet. — Wybory do Instytutu.

Zgraja brudasów, zapełniających dziennikarstwo, rzuca zwykle cień i na uczciwego pracownika tej niwy, ale świeżo umarły J. I. Weiss nie ma do nich pretensyi: jego sumienie dzennikarskie było nadzwyczaj rozciągłe, jak o tem sądzić można z polityczncj jego karyory. Na początku siódmego lat dziesiątka prowadził gorącą wojnę z cesarstwem. Ale oto Ollivier daje mu miejsce sekretarza w ministeryum sztuk pięknych i nasz bojownik staje w szeregu obrońców istniejącego rządu. W burzy, która zerwała się nad głową Napoleona III, karyera Weissa zaćmiła się na pewien czas, ale pióra nie porzucił. Oddał je na usługi Rzeczypospolitej, a później — jej wrogów, broniąc polityki 16 maja. Po porażce wrócił, rozumie się, do obozu zwycięzców, tak że niewybredny Gambetta ofiarował mu urząd dyrektora spraw zagranicznych. Ale wzbudziło to tak silne oburzenie ze strony radykalistów, iż Weiss cofnąć się musiał — ostatecznie jednak zdobył sobie synekurę rządową i zakończył swe dni na posadzie bibliotekarza w Fontainebleau. Dawno już przeszedł ten czas, gdy burżuazyjni gazeciarze wystrzegali się układów z własnem sumieniem, dlatego też bynajmniej nie dziwimy się, gdy Ranc nazywa Weissa największym dziennikarzem swego czasu.

Większe natomiast zasługi trzeba mu przyznać w krytyce, zwłaszcza, że należąc do szkoły analitycznej, która stara się tylko zrozumieć wszystko, miał więcej godziwego przestworu dla rozciągłości swych przekonań. Oprowadzał on po świecie swą wytworną ciekawość, ujętą w świetny styl, nikły i falisty. Wraz z Taine'm, do którego uczniów się zaliczał, pochodzi ze szkoły Normalnej; to objaśnia jego uwielbienie dla klasycyzmu: koło XVIII stulecia skupiły się wszystkie jego upodobania. Z tego źródła czerpał wzorowość stylu, ale z drugiej strony trzeba przyznać, iż towarzystwo staruszków trochę go zestarzało i nadało jego pismom woń jakiegoś pergaminowego namaszczenia.

Jakkolwiek pretendował do beztendencyjności i chlubił się brakiem wszelkiego subjektywizmu, umiarkowane filisterstwo pozostawiło na jego artykułach niezatarte ślady. I wogóle uczniowie Taine'a znajdują się w ciągłej sprzeczności ze swą teoryą, nie mogąc się utrzymać na szczytach objektywizmu. Zatarg ten, zdaniem naszem, nie jest bez wyjścia. Jeżeli literatura i sztuka powinny być przedmiotami naukowego badania narówni ze zjawiskami natury, to musimy pamiętać, iż obok nauk teoretycznych przyrodniczych istnieją jeszcze stosowane: obok fizyki, chemii i fizyologii — medycyna. Również obok krytyki analitycznej zupełnie uprawniona jest krytyka stosowana, dążąca do pewnych celów moralnych lub estetycznych, w której ideał, tendencya są zupełnie uprawnione, nawet z czysto naukowego punktu widzenia — trzeba tylko, aby ideał ten nie znajdował się w sprzeczności z wynikami badania przedmiotowego. To też nie czynilibyśmy najmniejszego zarzutu Faguet'owi, którego studya nad literaturą francuską XVIII i XIX stulecia wzbudzają obecnie masę sporów, zachwytów i złorzeczeń, z tego, iż dzieła swe rozpoczyna następującem oświadczeniem: „Pozostawiam innym troskę wytłomaczenia XVIII stulecia — ja przystępuję do walki z niem.“ Ale chodzi o to, iż ideały, w imię których walka ta się odbywa, są już zupełnie zgrzybiałe i rzadko kiedy znajdują się w zgodności z badaniem przedmiotowem. Autor zapatruje się na wiek XVIII ze stanowiska konserwatysty, który jeszcze się nie pogodził z przewrotem, wywołanym przez Rewolucyę w etyce, polityce i wszystkich wogóle stosunkach społecznych. Ubiegłe stulecie ściąga na się jego zarzuty tem, iż nie było ani chrześciańskie, ani francuskie — zarzut ten czynili mu już ludzie z czasów Restauracyi. Co do nas, to główny powab, jaki widzimy w wielkich filozofach encyklopedystach, zawiera się w ich charakterze ogólnoludzkim: Voltaire walczył z nadużyciami, gdzie się tylko przejawiały, Rousseau miał zawsze na widoku ludzkość, a Anacharsis Clootz był jedną z najsympatyczniejszych osobistości tej Rewolucyi, która ogłosiła prawa człowieka i rozniosła je z orężem w ręku po świecie całym. Co się tyczy drugiego zarzutu, to można tylko żałować, iż wiek XVIII tak mało nań zasłużył.

Faguet przyznaje XVIII wiekowi zasługę utworzenia trzech nauk — politycznej, historycznej i przyrodniczej — ale tylko dlatego, iż w ten sposób wykuł wrzekomo potężny oręż przeciw samemu sobie. Zdaniem autora w nauce o państwie i społeczeństwie ideały nie mają żadnej racyi bytu; to też chwali Montesquieu'ego za to, że zadawala się rozbiorem istniejących lub przebrzmiałych konstytucyj, nie zaglądając w przyszłość; natomiast złorzeczy Rousseau'wi, który za podstawę swego systemu przyjął zasadę zwierzchnictwa ludowego. Już Taine zarzucał Rewolucyi, iż chciała urządzić społeczeństwo w myśl tez abstrakcyjnych. Faguet powtarza za nim tenże sam przesąd. Rewolucya stawiała sobie w abstrakcyjnej, wspaniałej formie tylko to zadanie, które faktyczny bieg życia sam wysunął. Ideały Hebertystów lub Baboeufa nie mogą być uważane za ideały Rewolucyi; co się tyczy ludowładztwa, to Rousseau nie wyssał go sobie z palca: poprzedni rozwój historyczny w zupełności przygotował dlań grunt. I wogóle trudno o lepszą harmonię między ideą a rozwojem stosunków materyalnych, niż to widzimy w W. Rewolucyi. Taine i Faguet chcą przykryć swe konserwatywne dążności płaszczykiem niby naukowego pozytywizmu. Tymczasem nauka nie zaprzecza bynajmniej wpływu idei i ideałów, przeciwnie, wymaga ona koniecznego współdziałania ich z postępem warunków rzeczowych. Z drugiej strony historya miała, zdaniem Fagueta, dowieść, iż tradycya jest także niezbędna dla narodu, jak korzeń dla drzewa, a zarazem, że postęp jest tylko szeregiem zmian nieznacznych. Dziwna to „historya“ która tylko pewne fakty przyznaje za normalne! Nareszcie

---

zawsze trzeba położyć koniec. Spiesznie opuściłem park, ażeby odebrać ołówek.

Schodząc z góry, na której wznosi się zamek, zobaczyłem przed sobą dwie panie. Mijając je, dotknąłem rękawem ramienia jednej z nich; spojrzałem na nią — miała twarz pełną, trochę bladą. Nagle oblewa się rumieńcem i staje się przedziwnie piękną; nie wiem, dlaczego pokraśniała — może wskutek słówka rzuconego przez jakiegoś przechodnia, może wskutek jakiejś ukrytej myśli. A może dlatego, że musnąłem był jej ramię. Pełna jej pierś silnie faluje, ręka nerwowo ściska parasolkę. Co jej się stało?

Zatrzymałem się, puszczając panie naprzód; w tej chwili nie mogłem iść dalej, wszystko to tak mi się wydało dziwnem. Byłem zirytowany, zły na samego siebie i w najwyższym stopniu podniecony przez pokarm, który naczczo spożyłem. Nagle, wskutek nowego kaprysu, myśli moje dziwny przyjmują kierunek; czuję szaloną ochotę przestraszenia tej pani, prześladowania, dokuczenia jej. Znowu więc ścigam ją, wyprzedzam, nagle się obracam i staję oko w oko naprzeciw niej. Chcę ją obserwować. Staję i błyskawicznie wynajduję dla niej imię, którego nigdy nie słyszałem, dźwięk długi, nerwowy: Glajalil Kiedy stanęła tuż koło mnie, podnoszą głowę i mówię tonem przekonywającym:

— Pani zgubi książkę!

Słyszę, jak przy tych słowach serce głośno mi bije.

— Książkę? — zwraca się pani do towarzyszki i idzie dalej.

Złość moja wzmogła się, postanowiłem iść za niemi w dalszym ciągu. Od tej chwili miałem jasną świadomość tego, że popełniłem czyn szalony, a jednak nie mogłem go nie popełnić; byłem niewolnikiem mego nastroju; nastrój ten poddawał mi dziwaczne pomysły, które z kolei wykonywałem. Powtórzyłem sobie niezliczoną ilość razy, że działam idyotycznie — nic nie pomogło; za plecami pani mojej wykrzywiałem się po cudacku, przechodząc koło niej kaszlałem, jak waryat. Idąc tak powoli o parę kroków naprzód, uczułem nagle jej spojrzenie na moich plecach; mimowoli pochyliłem się ze wstydu, że mogłem być do takiego stopnia natrętny. Opanowało mnie dziwne uczucie: zdawało mi się, że jestem gdzieś daleko, w innem miejscu; coś mi się majaczyło, że to nie ja idę taki zgarbiony tutaj, po tych chodnikach kamiennych.

Po kilku minutach pani moja doszła do księgarni Paszy; ja wcześniej zatrzymałem się był przed oknem; teraz dochodzę do niej znowu i mówię:

— Pani zgubi książkę!

— Ale jakąż książkę? — pyta bojaźliwie towarzyszki. Czy rozumiesz, o jakiej książce on mówi?

I staje. Zmieszanie jej sprawia mi zwierzęcą satysfakcyę; zakłopotanie, odbijające się w jej wejrzeniu, zachwyca mnie. Myśl jej pojąć nie może mojej krótkiej, dziwnej uwagi; nie wzięła z sobą książki, nawet kartki jednej, a mimo to szuka w kieszeniach, patrzy kilkakrotnie na ręce, kręci głową, ogląda się na chodnik po za siebie i wysila swój mały, delikatny móżdżek na to, ażeby dojść, o jakiej właściwie książce ja mówię. To blednie, to czerwieni się, zmienia wyraz twarzy, oddycha prawie głośno; nawet guziki u jej sukni zdają się spoglądać na mnie, jak szereg wystraszonych oczu.

— Nie zwracaj na niego uwagi! — powiada towarzyszka, pociągając ją za sobą. To pijany — czyż nie widzisz, że pijany?!

(D. c. n.).

przyrodoznawstwo miało dowieść, iż równość jest chimerą: ono ma być arystokratyczne i patrycyuszowskie. Zbyt często wyzyskiwano biednego Darwina na korzyść różnych reakcyjnych bredni i zbyt dobrze już odparto ten zarzut (Ritchie), aby warto było jeszcze nad nim się zastanawiać. Stojąc na takim gruncie, Faguetowi nie trudno zgromić wiek XVIII, Rewolucyę i wszystkie jej dzieła, a zarazem wszystkich jej przedstawicieli i pisarzy. Tych ostatnich potępia on hurtem, nie probując nigdy objaśnić ich postępowania i idej warunkami miejsca i czasu. Faguet jest czystym subjektywistą, *sans phrase*. Pisarz ma być takim lub innym jedynie dzięki swej „woli.“ W tej kwestyi porzuca on, jak widzimy, kierownictwo Taine'a, którego natomiast trzyma się namiętnie, gdy trzeba dowieść zbawienności tradycyi i reakcyi. Autor sądzi, iż wiek XVIII mógł stworzyć oryginalne systemy filozoficzne, a jeżeli nie stworzył, jest to wina tylko osób. Nić przyczyn i skutków rwie się u niego na każdym kroku, a on nie probuje nawet jej nigdy nawiązać. Pisarze XVIII stulecia byli nador wojowniczy — to zbrodnia, ale przyczyn, które wojowniczość tę wywołały, nie trzeba badać. Montesquieu'mu stawia się za szczególną zasługę to, iż uwielbiał klasycyzm, jak gdyby uwielbienie to nie było w ogólnym duchu czasu. Rousseau'wi natomiast czyni się zarzut z tego, że polityczne jego idee nie są w zgodzie z ogółem jego teoryi. W tej ostatniej był on wrogiem społeczeństwa, zwolennikiem dyssocyacyi, w pierwszych zaś stawia pomysły reform urzeczywistnionych przez konstytucyę 1793 r. Ale mniemaną tę sprzeczność można łatwo wytłomaczyć. Nić, wiążącą teoretyczne i praktyczne programy Rousseau'a znajdujemy w społecznem stanowisku ich autora, mianowicie drobnego mieszczanina z Genewy. I obecnie jeszcze szwajcarski chłop lub sklepikarz zapamiętale negują w teoryi państwo, ale w potrzebie zwracają się doń odrazu o pomoc. Voltaire'owi subjektywna krytyka Fagueta najbardziej się dała we znaki: jest to wstrętny parweniusz, łaszczący się bogatym i wielkim, którzy traktują go familiarnem kopnięciem nogą, oddawanem przez filozofa stojącym niżej od niego, zamaskowany świętoszek, zbogacający się pod pozorem obrony słabych, z oschłem sercem, bez sumienia i duszy, który nigdy nie potrafił odróżnić dobra od złego. Ponieważ ten ostatni rys poczytywany jest wielkim ludziom bodaj czy nie za zasługę, więc wykreślimy go z charakterystyki Voltaire'a. Pod wielu innymi względami trzeba ją przyznać za słuszną, jakkolwiek musimy wraz z Heglem przypomnieć, iż filistry zwykle umieją na pamięć całą litanię grzechów Alexandra Wielkiego, aby w ten sposób pokazać, że chociaż nie podbili Azyi, to jednak nie są pijakami, rozpustnikami etc. Ale nigdy się nie zgodzimy z tem, aby Voltaire miał być myślicielem banalnym i płytkim, bez logiki i przewodniej idei w życiu. Co się tyczy pierwszych zarzutów, to są one tak słabe, iż nie zasługują na odpowiedź; natomiast trzeba być ślepym, aby nie dostrzedz pod zmiennemi kolejami życia giętkego wprawdzie sceptyka, myśli przewodniej: była nią nieubłagana walka z bigoteryą, walka fanatyczna, o której ludzkość zachowa wdzięczne wspomnienie, dopóki ostatni mózg drgać będzie oburzeniem na myśl o pętach duchowych. Faguet zarzuca też Voltair'owi — skądinąd niewątpliwe — tchórzowstwo dlatego tylko, iż pamflety swoje puszczał w świat bez podpisu. Na usprawiedliwienie pustelnika z Ferney można przypomnieć, iż pisał za czasów, gdy, zdaniem złośliwych, słoń był jedynem znaczniejszem bydlęciem, o którem można było bezkarnie mówić. Pomimo to Voltaire spędził dwadzieścia lat swego życia w więzieniach i na wygnaniu. Wogóle ta część dzieła Fagueta jest niewątpliwie spóźnionym paszkwilem reakcyonisty, który zresztą chociażby ze względu na styl powinien się był poczuwać do pewnych względów wdzięczności. Francuzi, „ten naród niegdyś dowcipny“ — jak o nich słusznie powiada Marx — słyną ze swego „ésprit“ tylko o tyle, o ile przeżuwają Voltaire'a.

Do Fagueta i ostatecznej jego charakterystyki powrócimy jeszcze wkrótce z powodu jego studyów nad literaturą XIX stulecia; teraz zaś powiemy jeszcze kilka słów o ostatnich wyborach do Akademii. Powiadają, iż była kiedyś Parnasem, obecnie jest tylko koteryjnym salonem, w którym grono staruszków gra w loteryjkę, wyobrażając sobie seryo, iż stawką jest „nieśmiertelność.“ Słusznie zauważono, iż nie ma francuza, któryby znał choćby z nazwiska dziesięciu przynajmniej z tych czterdziestu „synów sławy.“ Są to mumie, przechowane z innej zupełnie epoki, których chwilowo tylko naelektryzować może jakieś nowe słowo — oburzeniem. A niechby śmiałek, który je wypowiedział, zechciał przeniknąć do ich zatęchłego przybytku, wówczas stają zwartą ścianą, ramię przy ramieniu i bronią jego nietykalności do upadłego. A jeżeli pod naciskiem opinii publicznej nie mogą się utrzymać, wpuszczają tego, kto jest najbardziej „correct et bien élevé,“ kto ma najlepiej obcięte paznokcie, najbardziej wylakierowany styl i kamasze, a także punktualność akademicką. Między innemi zwracają też uwagę na talent. Ale nawet geniusz nie pomoże, jeżeli „adultere“ przedstawiono nie w sposób akademicki: nie w buduarze, lecz w stajni. Skostniałych pod pokostem takich cnót peryodyczna kandydatura Zoli — która mu bądź co bądź honoru nie czyni—wprawia w wielki kłopot, ale nie na tyle, aby mieli ustąpić przed tą rewolucyjną, choć europejską sławą. Na samą myśl, iż fotel „delikatnego“ Feuilleta zajmie brutalny Zola, stare, oślepłe myszy, które coś tam przeżuwają jeszcze bezzębemi szczękami, zadygotały. Wybrano więc znowu modnego anegdociarza, który za jakie lat dwadzieścia będzie przedmiotem zachwytów tylko kucharek — wybrano Loti'ego. Ponurego malarza nędzy społecznej spotkano zwykłem: „Apage satanas.“

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

„Psyche,“ powieść Adolfa Schmitthennera. — Nowele Ryszarda Vossa (Der Mönch von Berchtesgaden). — Marco Brociner, nowelista rumuńsko-niemiecki.

Wśród powodzi robót, przykrojonych do smaku tej lub owej grupy abonentów pism peryodycznych, rzadko zjawia się dziś w Niemczech powieść wyższej wartości poetyckiej, samodzielnie pomyślana i wykonana niezależnie od panującej mody. Od śmierci Kellera, jedynie po Konradzie Ferdynandzie Meyerze spodziewać się czasem można utworu, stojącego na wyżynie prawdziwie artystycznej. Wobec tego braku przyjemną niespodziankę stanowi powieść nieznanego dotąd pisarza, Adolfa Schmitthennera, który, snać po gruntownych studyach na polu teoryi i techniki powieściopisarskiej, obdarzony talentem niezwykłym, odrazu stworzył rzecz niemal wzorową. Utwór ten nosi tytuł zbyt może idealistyczny w stosunku do zdrowego realizmu treści i zowie się „Psyche“ *), a bohaterką jego jest młoda dziewczyna, a raczej dziecko jeszcze. Lizeta, córka ubogiej praczki, wcześnie zmuszona była szukać zarobku. Zgrabna i miła, przyjęta została do baletu. Od dwóch lat już tańczy, a na Wielkanoc ma być konfirmowana. To wytwarza się starcie, na którem osnuta jest powieść. Młoda tancerka, aczkolwiek wewnętrznie czysta i niezepsuta, wątpi, czy przypuszczona być może do komunii, a dziecięcy jej umysł, nawykły do nabożności, głęboko zaniepokojony jest tą wątpliwością. Dziwnie sympatyczna i zajmująca jest ta postać dorastającej dziewczyny, w której dziecinność miesza się z rozumem przedwcześnie rozwiniętym, ciekawość ku tajemnicom życia z przykremi już doświadczeniami. Całe zawikłanie jej losu tłomaczy się niedojrzałością: zmuszona żyć w gronie osób starszych, otoczona zepsuciem, pokusami i nikczemnością wszelaką, a mając niejasne jeszcze o wszystkiem pojęcia, wchodzi w sytuacye grożące jej zgubą. Lecz pełna dobrej woli postanawia z natężeniem całej siły moralnej oprzeć się sidłom i oczyścić się z oszczerstw, któremi ją oplątano. Wśród tych walk, które do głębi ją wstrząsają, budzi się w niej serce, uśmiecha się do niej miłość czysta i prawdziwa. Znękana rozterkami, ginie z nieuwagi na deskach scenicznych; lecz umierając, widzi, że ci, na których sądzie najwięcej jej zależało, uwierzyli w jej czystość.

*) Bielefeld i Lipsk. Telhagen et Clasing. 1891.

„Psyche“ nie jest powieścią społeczną z natrętnie występującą tendencyą, jaką uprawiają dzisiejsi naturaliści niemieccy. Tragiczne sprzeczności, tkwiące na dnie dzisiejszych stosunków społecznych, są właściwem źródłem przedstawionych w niej zdarzeń, lecz czytelnik własną myślą wydobyć je musi, podobnie jak w życiu. I w tem różni się Schmitthenner od naturalistów, że nie maluje czarnym wyłącznie kolorem, że zstąpiwszy ze sfer nizkich, obok zepsucia przedstawia czystość moralną, obok ponurych stron życia — szczęście, które bodaj skąpymi promieniami i na te niziny się przekrada.

Wspomnieliśmy na wstępie, że powieść jego cenimy z tego głównie względu, iż odbiega od szablonu i jest wyrazem oryginalnego talentu poetyckiego. Na polu nowelistycznem trudniej dziś jeszcze w Niemczech o rzecz oryginalnie pomyślaną i napisaną. Nowela trzyma się tu dwu recept utartych: osnuta jest albo na dawniejszych wzorach włoskich i francuskich, a zatem w ciasnych ramach zawiera akcyę bogatą, gwałtowną, sceny dramatyczne i barwne opisy krajobrazów; albo naśladuje wzory ruskie i skandynawskie, tj. zaniedbując całkowicie osnowę i sztukę opowiadania w dawniejszem pojęciu, analizuje chorobliwe stany psychiczne jednostki wcale niezajmującej. O receptach tych zapominamy jednak, wziąwszy do rąk świeży zbiór nowel Ryszarda Vossa, który, pomimo iż w ostatnich latach z powodzeniem próbował swych sił na scenie, w gruncie rzeczy jest i pozostanie nowelistą. Voss nie lubi ludzi zwykłych. Bohaterowie jego są zawsze jednostkami o niezwykłym umyśle lub o niezwykłej sile namiętności, a przedstawieni w dramatach wstrząsających do głębi. Ulubionym zaś jego tematem jest walka rozumu, namiętności i obowiązku w piersi duchownego. Do tematu tego wraca znowu w noweli „Mnich z Berchtesgaden“ *). Jeżeli wierzyć można autorowi, znalazł on materyał do tego w pamiętniku, ukrytym w starej szafie klasztornej, którą Voss nabył u wieśniaka nad brzegiem jeziora Königsse. Pamiętnik ów streszcza losy ojca Ambrożego, który uległszy pokusie, poniósł karę śmierci. Z wątka tego tyle już w piśmiennictwie niemieckiem wysnuto powieści i nowel, że potrzeba było istotnie wyobraźni tak świeżej i bogatej, jaką posiada Voss, aby powstać zeń mógł utwór zajmujący. Osobliwszy wdzięk nadają noweli tej opisy gór i jeziora, wspaniałego i groźnego zarazem. W dwóch innych nowelach („Madonna della Rocca“ i „Der Tugendpreis“) oddychamy powietrzem włoskiem, w którem Voss tak długo przebywał. Gorącemi barwami południa maluje efektowniej jeszcze, aniżeli mglistymi tonami górskimi,

*) Stuttgart, Engelhorn.

a djalog jego, pełen humoru i zręczności, w nowelach nieraz bardziej jest dramatyczny, aniżeli w sztukach scenicznych. A co najdrobniejszemu nawet jego utworowi zapewnia zajęcie czytelnika, to wyraźne znamię indywidualności poetyckiej autora, który temperamentu swego nigdzie ukryć nie umie.

Wraz z Vossem drugi dramatopisarz, który obok niego w ostatnich czasach zbierał wawrzyny w wiedeńskim Volkstheatrze, przypomina się pupbiczności jako nowelista. Jest to Marco Brociner, autor rumuński, który zdobył sobie powodzenie sceniczne udramatyzowaniem powieści swej „Wesele w Valesie.“ Brociner, żyjąc od lat kilku w Wiedniu, przestał pisywać po rumuńsku i wstąpił do szeregu nowelistów niemieckich. Jest to niewątpliwie talent oryginalny a i tematy, które wnosi do nowelistyki niemieckiej, mają swoją świeżość.

Niestety, jednak odbija się w płodach jego nowelistycznych przyzwyczajenie do prac dziennikarskich, których nadmiar podkopał zdrowie niejednego talentu. W zbiorze świeżo ogłoszonym najstaranniej opracowana jest nowela tytułowa („Doctor Hamlet“), a z dalszych „Awantury miłosne pana Bobricy.“ Bobrica, redaktor „Bomby“ jest znakomitym typem z dziennikarstwa rumuńskiego. Życie jego obraca się niejako między samymi policzkami, które nikczemne, a wesołe wiecznie indywiduum znosi z humorem. Reszta utworów pomieszczonych w zbiorze, „Die Ehre des Todten“ „Der Tanzbär,“ „Der Maskenball,“ „Lachwalzer“ itd., to mniej lub więcej udatne fejletony, które Brociner ogłaszał w odcinkach gazet wiedeńskich i niemieckich, a która z większą korzyścią dla czytelnika i dla autora pozostać by mogły w wielkim tym grobie papierowym.

Ladawa.

NOWE KSIĄŻKI.

Świeżo wyszła z pod prasy *Teorya działań*, jako część pierwsza tomu pierwszego dzieła S. Dicksteina p. t. *Pojęcia i metody matematyki*; obejmuje ona str. 268 i przedstawia się bogato tak pod względem treści, jak i wydania. Autor zamierzył opracować jakby filozofię matematyki, opartą na najnowszych zdobyczach tej umiejętności; *Teorya działań* jest tylko wstępem do tak szeroko podjętej pracy. Więc autor rozpoczyna od określenia przedmiotu matematyki, pojęcia wielkości, form przerywanych i ciągłych, systemu matematyki; porównywa ją z logiką, odróżnia analizę od syntezy i określa zasadę rachowania i warunki stosowalności działań formalnych. Następnie mówi o liczbach całkowitych, o działaniach prostych i odwrotnych i o liczbach nadskończonych Cantora. Dalej wykłada teoryę działań formalnych według Grassmana, Hankela i Dedekinda, dalej liczby ułamkowe, liczby ujemne, liczby urojone, liczby nadurojone według Weierstrassa i Grassmana, gdzie kwaterniony Hamiltona traktuje jako przypadek szczególny liczb nadurojonych; nareszcie funkcye całkowite, rozwijanie ich według szeregu Taylora i t. zw. prawa najwyższego Wrońskiego. Do każdego rozdziału dodane są przypisy, obejmujące streszczenie obszerniejsze teoryj wymienionych autorów, jako też bardzo szczegółowe wskazania, dotyczące literatury odnośnych przedmiotów.

K. Skrzyńska, *Kobiety w pieśni ludowej*, Warszawa.

Redakcya *Wisły*, ogłaszając materyały etnograficzne, zebrane z życia naszego ludu, pomieściła tę książeczkę w swej „Bibliotece.“ Jest to zbiór pieśni ludowych, czerpanych — jak zapewnia autorka — u samego źródła, bo wyjętych z ust dziewcząt ziemi lubelskiej i nigdzie dotąd niewydanych. Pani Sk. słusznie mniema, że w tych pieśniach odzwierciedla się charakter, uczucia i stanowisko społeczne chłopki.

Kazimierz Gliński, *Z walk życia*, obrazek dramatyczny, Warszawa.

Ze splotu ubóstwa, potrzeby zarobkowania, wyższych porywów poety, które w jego duszy wywołuje duch sztuki i zwyczajnego obowiązku, który mu przypomina umierające dziecko, wysnuł autor swoją rozpaczliwą opowieść. W formie okazuje ona pióro zdolne i wprawne. w treści — ma dużo znamion początkującego. Jest to melodramat, który niezawodnie wzruszyłby czytelnika, gdyby był prostszy i nieprzeładowany okropnościami.

E. S. Świeżawski i K. Wenda, *Wojciech Oczko*, syfilidolog polski XVI w., Warszawa.

Broszura ta nosi na sobie wszystkie cechy prac p. Świeżawskiego, świadczących zawsze o nadzwyczajnej erudycyi i słabem zużytkowaniu zebranego materyału. Tu zaś szczególnie musiało się to objawić, gdyż autor nie jest lekarzem i słynnego syfilidologa musiał traktować jako historyk. Współudział p. K. Wendy, aptekarza, był dlań tylko częściową pomocą. Do jakiego stopnia dla p. Świeżawskiego obojętnym jest przedmiot poszukiwań i jak on tę sztukę badawczą wykonywa dla samej sztuki, widzimy z wydanego jednocześnie „Spisu (dawnych) lekarzy polskich.“ Niewielu zapewne znalazłoby się historyków po za medycyną, którzyby podjęli taką pracę — szperania w źródłach dziejowych dla wydobycia z nich szeregu gołych nazwisk. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby prace p. Św. nie miały swojej wartości.

Józef Łoziński, *Nie pierwszy*, fragment sceniczny, Warszawa.

Uwiódł mężatkę, zamieszkał z nią, wymagał miłości i miłość udawał, ale znalazłszy panienkę, którą chciał poślubić, uczuł chęć wywikłania się z nieprawego związku. „Zagalopował się młodzieniec“ — jak powiada jego przyjaciel—a ponieważ nie miał odwagi wyznania prawdy, więc zaczął kręcić się w błędnem kole. Otworzyła mu je kochanka, która przejęła list, odtrąciła uwodziciela i zapowiedziała mu: „Jeżeli usłyszysz kiedy, żem upadła nizko... bardzo nizko — nie potępiaj... nie wytykaj palcami... nie pogardzaj z innymi... Pamiętaj o tem, że... bez walki tego nie zrobiłam.“ Nie wiadomo, który w tej grupie marnych charakterów jest od innych lichszy: czy bezmyślny dudek, który nie obliczywszy się ze swojem sercem, uwodzi kobietę, a potem radby jej gładko się wyśliznąć; czy ona, zrozpaczona zawodem, która w chwili boleści swojej wróży jemu i sobie, że „upadnie bardzo nizko... po walce,“ czy wreszcie godny tej pary przyjaciel, który gra rolę płaskiego błazna w dramacie. Opracowanie tego utworu bardzo pospolite.

K. Niklewicz, *Wina owocowe i miody*, Warszawa.

„Zadaniem mojem — powiada autor — jest wykazać taką metodę fabrykacyi, której zastosowanie równoważyłoby ceny win owocowych z cenami piwa, przez co ogół biedniejszych konsumentów znalazłby tanie i zdrowiu nieszkodliwe trunki.“ Myśl zużytkowania naszych owoców do wyrobu napojów od pewnego czasu jest podnoszona ciągle i zwłaszcza w p. Jankowskim ma gorliwego apostoła. P. N., były inspektor winnic w Austro-Węgrzech. zebrał dużo specyalnej wiedzy i doświadczenia; to też książeczka, chociaż bardziej jako pobudka, niż podręcznik informacyjny, jest niewątpliwie pożyteczna.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO

20 czerwca.

Smutna statystyka. — Większa własność wśród kaszubów. — Wystawa rolnicza. — Ks. dr. Jażdżewski. — Komisya kolonizacyjna. — Poznań.

Już posiadamy urzędowe cyfry z ostatniego obliczenia statystycznego i już zaczynamy czynić ogólne uwagi, co do jego wyników. Nie świetnie one dla nas wypadły, a nawet możnaby użyć jeszcze ostrzejszego wyrażenia: fatalnie. Skonstatowała to już pobieżnie nasza prasa, a obecnie konstatują niemcy. Oto ludność w Poznańskiem i w innych wschodnich prowincyach pruskich, zamieszkałych przeważnie przez żywioł słowiański, nie powiększa się tyle, aby mogła dorównać przeciętnemu rozrostowi zaludnienia Prus, a w wielu nawet okolicach wprost już zmniejszać się zaczyna! Porównajmy tylko wyniki rachunku obecnego z rezultatami w r. 1885.

Ludności Prus obejmowała dnia 1 grudnia 1885 r. 28,318,470 głów, tegoż 1 grudnia 1890 r. urosła do 29,957,302. Roczny przyrost zatem wynosił 1·13 procent. W ciągu całego pięciolecia 1885—1899, przybyło według wykazów, ogółem 1,638,832 ludności, a wyrażając ów przyrost w odsetkach, otrzymamy 5,79 jako miarę przeciętną dla *całej monarchii pruskiej*. W. Ks. Poznańskie ani w połowie tej miary nie dosięga.

W r. 1885 naliczono tu 1,715,618, a w r. 1890 nie więcej jak 1,752,094 głów, czyli przybyło ogółem 36,476., co wykazuje tylko przyrost 2.13. W porównaniu obu obwodów regencyjnych, z których się składa ks. Poznańskie, osięgamy nieco korzystniejszy stosunek dla bydgoskiego, bo 2.72 procent, lecz dla poznańskiego za to tylko 1.80. Cyfry te dopiero wtedy sprawę należycie uwydatnią, gdy zaczniemy rozkładać je na pojedyncze działy. Za podstawę bierzemy tu znów liczby otrzymane ogólnie dla całych Prus i porównamy je z danemi dla Poznańskiego.

W dominiach liczących aż do 2,000 dusz spisano w dniu 1 grudnia 1890 r. 1,994,237 mieszkańców, t. j. o 4,346 mniej, aniżeli przed pięciu laty; ubytek zatem dla tej kategoryi 2.19 procent. Przy wsiach i miasteczkach, podobnie jak przy dominiach uwzględniamy wyłącznie tylko te, których liczba mieszkańców nie przenosi 2,000 osób. Otóż dla owych wsi, zamieszkałych ogółem przez 12 milionową ludność, przyrost wynosił przeszło 14 tysięcy, czyli 1.12 procent, a dla owych miasteczek ubytek 1.05 proc. Na każdy ze wspomnianych wyżej obwodów dominialnych przypadało w przecięciu w r. 1885 jeszcze po 120.29 ludności, podług zaś ostatniego obliczenia już tylko 118.98.

Gdy dla obwodu regencyjnego poznańskiego oddzielimy wsie od miast i ludność po powiatach wiejską od miejskiej, otrzymamy dla przyrostu ludności wsi 2 procent, dla miast 1.1 procent, w co atoli należy wliczyć nadzwyczajny i wyjątkowy wzrost ludności o 9,337 głów w powiecie wschodnio-poznańskim. W 10 powiatach na 27 ogółem ubyło ludności wiejskiej w ubiegłem pięcioleciu, a w dalszych 5 rozrost nie dochodził nawet skromnej miary 1 procent. Ludność miejska zmniejszyła się w 9 powiatach. Dla większych miast prowincyi poznańskiej przytaczamy liczby szczegółowe:

	ludność r. 1890.		*w procentach* w porównaniu z r. 1885.
Poznań	69.631	. . . . .	+ 1.93
Bydgoszcz	41.451	. . . . .	+ 14.21
Gniezno	18.084	. . . . .	+ 14.77
Inowrocław	16.504	. . . . .	+ 21.92
Leszno	13.295	. . . . .	+ 11.32
Rawicz	12,423	. . . . .	— 3.84
Krotoszyn	10,661	. . . . .	+ 7.05

Dzisiejszy spis większych właścicieli ziemskich wykazuje w powiecie kartuzkim, *czterech* polaków na obszarze razem 1,674 hektarów. Podobny spis z r. 1880 podawał ich jeszcze *dwudziestu jeden*! W całym powiecie było podówczas samych Zelbersz-wegt-Łaszewskich trzech, którzy posiadali 1,932 hektarów ziemi, a więc o 258 h. więcej, niż mają dzisiaj wszyscy właściciele polacy w tym powiecie. A wiedzieć trzeba, że na obszarze 139,000 hektarów powiatu kartuskiego jest 88 większych majątków ziemskich. Obszar wszystkich większych posiadłości obejmuje tam 59,000 hektarów, z czego na fiskus wypada 16,000 h.

W Pobiedziskach mieliśmy bardzo ładną wystawę rolniczą. Znajdowały się na niej konie, bydło, owce, trzoda chlewna, ptactwo domowe, okazy paszy, nawozów sztucznych, maszyny, narzędzia rolnicze, oraz używane w mleczarniach, wyroby nabiałowo, pszczoły i przedmioty dotyczące pszczelnictwa, przedmioty rybackie, produkty i sprzęty młynarskie, wyroby z gliny itd.

Za wyborowe okazy koni otrzymali z polaków nagrody: hr. Potulicki, Żychliński z Usarzewa i Klepka z Żelic. Za doborowe okazy bydła wyszczególnieni: Jackowski z Pomarzanowic, Żychliński z Usarzewa (złoty medal), Niemojowski z Dzierzchnic (złoty medal), Sokolnicki z Tarnowa, Dobrzycki z Chłapowa (złoty medal); za piękne okazy owiec: hr. Kwilecki z Drohojewa, hr. M. Kwilecki z Oporowa i hr. Rzewuski z Armgowa. Za piękne okazy świń nagrodzono hr. Potockiego z Siedlec; za drób Kuźnickiego z Gościeszyna; za okazy zboża i nawozów Tucholka, Bronikowskiego i Orłowskiego z Poznania. Wystawa była nader licznie zwiedzana; dość powiedzieć, że w jednym dniu przybyło na nią więcej, niż 10,000 osób.

Jeszcze kilka wiadomości.

Przedewszystkiem ks. dr. Jaździewski stwierdził publicznie, że jest nieprawdą, jakoby złamał solidarność z Kołem, gdyż w znanem już czytelnikom wystąpieniu nie przekroczył w niczem otrzymanych instrukcyj. Następnie okazuje się, że majątek Bukowiec, obszaru 10,000 morgów, kupuje od hr. Leona Skórzewskiego komisya kolonizacyjna, zaś wieś Nowiec pod Dolskiem, objętości około 700 hekt., jest już na subhaście, a Biechowo po raz wtóry od właściciela p. Łukowskiego zakupiła. Poznań będzie miał między swymi płatnymi radcami miejskimi także urzędnika, który włada prócz niemieckiego językiem słowiańskim.

t. z.

Z WYSTAWY PRAZKIEJ.

w czerwcu 1891.

II. *)

Rzut oka na plac wystawy. — Ugrupowanie pawilonów. — Rozrywki. — Smutny koniec balonu. — Pawilon sztuki czeskiej. — Pawilon archeologiczny. — Pawilon etnograficzny.

Pierwsze, urywkowe wiadomości, pragnąłbym naprzód uzupełnić rzutem oka na całość placu wystawowego, ułożoną z prawdziwym smakiem architektonicznym. Podjeżdżając fiakrem, tramwajem lub koleją żelazną, zdala widzimy główny pałac przemysłowy, olbrzymi gmach żelaznej konstrukcyi, którego front zdobi postać geniusza oraz figura cesarza Leopolda II i Franciszka Józefa I. Przed pałacem tym rozpościera się trawnik, wiodący ku wzniesieniu, na którem umieszczono statuę króla Jerzego Podiebrada. Po obu stronach trawnika wzniesiono dwa budynki w stylu staro-czeskim, obejmujące wystawę sztuki i starożytności. Dalej spotykamy dwa okazalsze pawilony: miasta Pragi i wydziału krajowego. Nadto wystawa zawiera przeszło sto pawilonów prywatnych, z których najgustowniej wyglądają panów czeskich, opisane w poprzednim liście jako „ściana magnatów." Na uwagę zasługuje jeszcze pawilon czeskiego przemysłu papierniczego, w stylu egipskim, budynek browaru pilzneńskiego, wreszcie pawilon cukrowniczy, przed którym umieszczono olbrzymią drewnianą głowę cukru, przedstawiającą dzienne spożycie tego produktu w Czechach wagi 220,000 klg. Pawilon etnograficzny zbudowany jest w formie chaty czeskiej, podobnej zupełnie do polskiej, a urządzeniem swem przypominającej sprzęty góralskie. Turyści czescy zbudowali sobie pawilon, naśladujący zamek średniowieczny o zwodzonym moście.

*) Zobacz nr. 22 *Prawdy*.

Dla zwiedzających wystawę przygotowano nadto szereg rozrywek. Dwie orkiestry przygrywają całe popołudnie aż do późnego wieczora, niejaki Długogenski koncertuje przy pomocy fonografu Edisona; w klubie turystów malarze, bracia Giebszerowie pokazują najnowszą panoramę z historyi czeskiej, jest wreszcie winiarnia rumuńska, kawiarnia turecka itd. Wieczorem plac wystawy i wszystkie budynki oświetlone są lampami elektrycznemi, jedyny pawilon gazowni miasta Pragi płonie światłem żółtem. Ma też wystawa swoją fontannę świetlaną, która śmiało iść może w zawody ze wspaniałym wodotryskiem barwnym na ostatniej wystawie paryskiej. Przez czas krótki cieszono się też balonem *captif*, uwiązanym na linie, która dozwalała wycieczek aeronautycznych na wysokość 300 m. Lecz kiedy powien aeronauta śmielszej natury, niejaki Wondziszka, puścił się w górę bez liny, balon na wysokości 2000 m. pękł, z błyskawiczną szybkością spadł na dach fabryki w Koleszowicach i spłonął od iskry; która weń trafiła. Wondiszka i towarzysze z biedą ocaleli.

Wszedłszy na plac wystawy przez główną bramę, stajemy najprzód przed pawilonem sztuk pięknych, gdzie zebrano celniejsze płótna zmarłych i współczesnych malarzy czeskich. Ze zmarłych niedawno temu mistrzów zasługuje na wzmiankę Chitussi, znakomity pejzarzysta, oraz Czermak, który lubował się w tematach czarnogórskich („Raniony czarnogórzec," „Zdobycz wojenna," „Czarnogórka pojąca konia" itd.). Ze współczesnych pierwsze zajmuje miejsce Brozik, który zdobył sobie sławę europejską swym „Husem na soborze konstancyeńskim"; na wystawie prazkiej dowiaduje się też widz, że Hynais, słynny artysta, żyjący obecnie w Paryżu, znany z pięknych prac w nowym Burgteatrze wiedeńskim, zalicza się do czechów. Z okazalszych obrazów historycznych wymienić jeszcze należy Liebschera „Żyżkę przed bitwą pod Kutną," wielkie płótno, które zdumiewa plastycznością pola pokrytego śniegiem. Jest wreszcie płócien najrozmaitszych ilość nieprzejrzana, ale ogółem wzięte malarstwo czeskie z ostatniej doby nie przedstawia się jako okazała sztuka narodowa i nie może mierzyć się ani z polskiem, ani nawet z węgierskiem. Czesi tłomaczą to zjawisko nieprzychylnymi warunkami materyalnymi, z jakimi walczyć muszą ich artyści. Trudno atoli zgodzić się na takie wyjaśnienie, gdyż wiadomo, że magnaci czescy już z tradycyi rodowej opiekują się sztuką bez porównania bardziej, aniżeli panowie polscy; wiadomo wreszcie, że dziś prawdziwe talenty znajdują pokup dla swych prac na rynkach międzynarodowych.

Pawilon starożytności, czyli t. zw. oddział retrospektywny wystawy prazkiej, mieści mnóstwo ciekawych przedmiotów. Ułożono je w sześciu grupach. Pierwsza ilustrować ma kulturę przedhistoryczną i przedchrześciańską; lecz oddział ten zbyt jest ubogi, aby odpowiedzieć mógł swemu przeznaczeniu. Dokładniej już przedstawia druga grupa rozwój sztuki rytowniczej: tu widzimy stare monety czeskie, pieczęcie, gemmy, patenty itp. Najobfitsza jest grupa trzecia, zbiór rękopisów i sztychów. Kancyonały klasztorne, ozdobione miniaturami, wystawione tu w witrynach, znane są z historyi. Zdumiewająca jest świeżość kolorów na tych średniowiecznych rękopisach. Nas szczególnie zajmuje rękopis oryginalny wiekopomnej pracy Mikołaja Kopernika „De corporum coelestium evolutionibus." Dalej widzimy w tej grupie miniatury na miedzi i słoniowej kości, prace malarzów czeskich z XIV—XVI stulecia, oraz miedzioryty z XVII—XVIII. W innych grupach pomieszczono zbroje i broń od czasów najdawniejszych aż do końca XVIII w., ubrania świeckie, ornaty i gobeliny, wreszcie naczynia i sprzęty. W tej grupie zasługują na uwagę pyszne okazy starego przemysłu szklanego. Nadto oglądać można w pawilonie archeologicznym ciekawe przedmioty pamiątkowe, jak: miecz św. Szczepana, miecz św. Wacława, rękawiczki, pierścień i infułę św. Wojciecha.

Przejdźmy do pawilonu etnograficznego. Pawilon ten jest raczej zbiorem muzealnym. W Czechach bowiem już przed lat dziesiątkami lud złożył stroje narodowe i przywdział małomiejskie; podobnież odrębne budownictwo wiejskie zaginęło pod bezpieczniejszą, ale kosmopolityczną architekturą. Pawilon, zbudowany w stylu dawnej czeskiej chaty, jest więc rekonstrukcyą historyczną, dokonaną starannie według wzorów zachowanych. Podobnie stroje kobiece, wyszywane i haftowane. oddawna już mieszczą się w witrynach muzealnych.

Stwosz.

BOLESNA NAUKA.

Najczęściej ludzkość wprzódy dokona pewnych czynów, a dopiero później spostrzega, iż musi je ująć w odpowiednie zasady. Po zaprowadzeniu kolei żelaznych ustanowiono dla nich prawa. Ale podczas gdy prawa pozostawały nieruchome, koleje postępowały w szybkim rozwoju. Dziś obrzuciły one tak gęstą siecią świat ucywilizowany, tak zawładnęły stosunkami komunikacyjnymi, że co chwila nie mieszczą się w stare normy prawne. Z coraz większem udoskonalaniem strony technicznej musi iść w parze coraz skrupulatniejsza dbałość o bezpieczeństwo jadących. I właśnie pod tym ostatnim względem pozostaje jeszcze wiele do życzenia i zrobienia. Te same mosty, hamulce, weksle, które pomyślano dla ruchu wolnego i rzadkiego, służą dotąd szybkiemu i częstemu. Nawet w kraju tak wzorowo porządnym, jak Niemcy, zdarzają się ustawicznie katastrofy. Wszystkie jednak przerosła chyba ostatnia, która setki osób poraniła lub zabiła w Szwajcaryi. Na rzece Birs, między Bazyleą a Mönchensteinem, załamał się most, a kilka wagonów napełnionych ludźmi wpadło do wody. Rozegrały się przytem sceny przerażające swą okropnością. Wielu nieszczęśliwych, ściśniętych kleszczowo śród zdruzgotanych wagonów, nie mogło się ratować. Jeden z nich, mając nogi uwięzione w odłamach wagonu zawieszonego nad przepaścią, pojony był przez dwa dni koniakiem dla podtrzymania życia, zanim zostanie wydobyty — zmarł jednak w strasznych męczarniach. Tragedyę tego wypadku powiększyła jeszcze niezaradność władz szwajcarskich. Po 10 dniach nie zbadano jeszcze wnętrza wagonów leżących pod wodą, a podawana cyfra ofiar waha się pomiędzy dziesiątkami a setkami. Odmalował się na tem tle jaskrawo charakter szwajcarów. Po pierwszych wykrzykach żalu zajęto się natychmiast w prasie obliczeniem... strat i wynagrodzeń, jakie kolej Jura-Simplon wypłacić musi poszkodowanym. Następnie, podczas gdy wagony leżały w rzece z niewiadomą ilością trupów, urządzono naokoło miejsca katastrofy balkony mostowe dla ciekawych, których wpuszczano za „biletami." Ponieważ zaś tłumy pospieszyły dla obejrzenia wstrząsającego obrazu, więc przyległe piwiarnie i gospody zaczęły ściągać na odpoczynek i posiłek szanowną publiczność, powracającą z widowiska. Zdaje się, jak gdyby to było tylko „miejsce godne widzenia," przy którem szwajcarzy obsługują gości i ciągną z nich zyski. Niejeden dozorca nadbrzeżny lub restaurator ze szczerym zapewnie smutkiem myśli o tej

chwili, kiedy wszystko zostanie uprzątnięte, a ciekawe gromady przestaną płacić za „bilety wejścia“ i kufle piwa.

W całej Szwajcaryi nakazano rewizyę mostów. Ostrożność ta pod świeżem wrażeniem strasznego wypadku powinna być dopełniona nietylko w Szwajcaryi. Nadto na porządek dzienny starań każdego społeczeństwa winna wejść kwestya obostrzenia odpowiedzialności dróg żelaznych za nieszczęścia tego rodzaju, sprowadzone ich winą. Fakty ciągle dopominają się o zmianę zasad postępowania — lepiej zaś usłuchać głosu doświadczeń cudzych, zanim boleśnie pouczy własne.

K A R T K I.

„The Ethical Movement.“ W Związku północno-amerykańskim rozwija się od lat kilku szeroki ruch naukowo-religijny z jednej strony, wolnomyślno-moralny z drugiej. Przedstawia on najrozmaitsze ogniwa, z mniejszą lub większą domieszką mistycyzmu. Mamy tutaj istotne sekty naukowo-religijne w rodzaju „agnostyków,“ czczących niepoznawalność, lub też „ewolucyonistów,“ czyniących to samo względem zasady rozwoju. Niektóre grupy poświęciły się jedynie kwestyi moralnej i upowszechnieniu nowych podstaw etyki. Towarzystwo chicagoskie, wydające pismo *The Open Court*, w którem pozwala się wypowiadać najrozmaitszym przekonaniom naukowo-religijnym, przystąpiło do wydawania kwartalnika *Monist.* Zadaniem jego jest „wypracowanie jednolitego pojmowania zjawisk wszechświata — pojmowania wolnego od sprzeczności i opartego na faktach życia.“ Redakcya usiłuje dopiąć tego, podejmując się oczyszczenia ideałów religijnych według wskazówek wiedzy. W pierwszym numerze znajdujemy prace Romanesa, Bineta, Copea, Macha, Saltera, Höffdinga i in. Drugiem pismem jest *International Journal of Ethics*, wychodzący jednocześnie w Filadelfii i Londynie, również raz na kwartał. Na czele stoi komitet z siedmiu osób, amerykanów, anglików, niemców i austryaków (sic!).

Mechanizm pamięci. Azam i następnie Vallot przytaczają w *Revue scientifique* szczególne fakty, które rzucają ciekawe światło na mechanizm pamięci. Przytoczymy z nich jeden. Vallot w wieku lat 20 spadł w prędkim biegu z bicyklu. Podniósł się i szedł dalej pieszo obok swoich kuzynów, z którymi rozmawiał swobodnie, lecz okazało się, iż stracił pamięć o wypadku, a nawet zapomniał to, co mu opowiedziano. Doprowadzono go do sąsiedniej fermy, wsadzono do kabryoletu. Upłynęła blizko godzina czasu. Dopiero wtedy zaczęła mu pamięć wracać. Przypomniał sobie, że wstał z ziemi, mówiąc, nic się nie stało, że poprowadzono go do wody, gdzie obmył krew, że jeden kuzyn z przestrachu był bliski omdlenia, że wreszcie doszedł do fermy. W kilka dni później uprzytomnił sobie samą fermę i pomoc, jaką mu tutaj dano. Lecz dopiero po paru miesiącach przypomniał sobie okoliczności spadnięcia z bicyklu, o których dzisiaj, po latach 15, ma zupełnie dokładny obraz w swoim umyśle. Słowem, pamięć wracała w ten sposób, że naprzód odzyskiwał świadomość zdarzeń najbliższych, później dalszych. W przykładzie, przytoczonym przez Azama, fakt występuje jeszcze jaskrawiej, dzięki dłuższym przeciągom czasu, w jakie świadomość o pojedynczych ogniwach zdarzenia była odzyskiwaną.

Stacya fizyologiczna w Tamaris. Dzięki staraniom prof. uniwersytetu w Lugdunie, Dubois, założono świeżo w Tamaris stacyę fizyologii ogólnej. Ma ona służyć do badań porównawczych nad fizyologią zwierząt morskich i lądowych. Wzorowano ją na zdobywających taki rozgłos stacyach zoologicznych morskich. Nie ulega wątpliwości, że taka stacya fizyologiczna, jeśli miejsce będzie wybrane dobrze — wśród dostatecznie urozmaiconego otoczenia organicznego, winna wyświadczyć olbrzymie usługi. Dotychczasowe badania fizyologów nie wychodzą po za obręb kilku uprzywilejowanych zwierząt: psy, świnki morskie, króliki, żaby jedynie są przedmiotem doświadczeń. Stacya projektowana otwiera po raz pierwszy możność systematycznych studyów nad niższymi organizmami i naturalnie obiecuje dostarczyć mnóstwo ciekawego i ważnego materyału. Po dłuższym namyśle wybrano Tamaris, miejscowość w okolicy Tulonu. Jednocześnie mają być podjęte próby hodowli ryb, zwierząt, roślin itd. Otwarciu ostatecznemu stają na przeszkodzie pewne formalności prawne.

Tramwaje elektryczne. Po raz pierwszy uczyniono próbę zastosowania elektryczności do poruszania pociągów w 1879 r. Wtedy firma Siemens i Halske przedstawiła na międzynarodowej wystawie berlińskiej tramwaj elektryczny. Ukazuje się on w dalszym ciągu na wystawie w Paryżu 1881 r., a kursował stale pomiędzy pałacem przemysłowym i placem Zgody. W tym samym roku przeprowadzono w Niemczech pierwszą linię tramwajową elektryczną. Lecz na tem sprawa stanęła. Postęp w technice od tego czasu jest prawie żaden. Zresztą, jeśli ktoś chce dowiedzieć się czegoś o tramwaju elektrycznym, może to uczynić tylko w ten sposób, że musi sięgnąć do książek i czasopism technicznych. Nadaremnie będzie przebiegał wielkie miasta Europy i szukał śladów zastosowania elektryczności do poruszania pociągów. Zaledwie spotkać można jakąś linię Lichterfeld, albo inną 6-kilometrową pomiędzy Offenbach a Frankfurtem. W wielkich stolicach tylko wyjątkowo natrafiamy na te próby i to jeszcze w nieznacznych rozmiarach — raczej jako osobliwość, np. w Brukselli. Natomiast Stany Zjednoczone uczyniły już olbrzymi postęp w tej mierze. W 1880 r. znajdujemy tramwaje elektryczne w 130 miastach, a przedstawiają one ogółem 2,400 kilometrów drogi. Wagonów, poruszanych elektrycznością, było tutaj 1,700 sztuk i dziennie przebiegały one 160,000 kilometrów. Nie posiadamy pod ręką późniejszej statystyki. O ile jednak można sądzić ze wzmianek w specyalnych czasopismach amerykańskich, rozmiary zastosowania więcej niż podwoiły się od tego czasu. Nie ulega wątpliwości, że z górą 300 miast posiada obecnie tramwaje elektryczne; w niektórych długość szyn wynosi do 500 kilometrów. Boston pod tym względem zajmuje pierwsze miejsce. Tramwaje te w liniach podmiejskich przebiegają 50 kilometrów na godzinę.

LIBERUM VETO.

Starzenie się tworów ludzkich. — Zabiegliwość 40 nieśmiertelnych. — Smaczny kąsek. — Akademia krakowska. — Nowe wybory jej członków. — Kandydat bez kwalifikacyi. — W obronie swoich. — Czy odprawadzilibyśmy w tryumfie Cumminga. — Wyścigi. — My a obcy. — Wrzenie w giełdzie. — Samowola z pozorami prawa. — Różne kredki. — Prośba do giełdy warszawskiej.

Jeżeli natura nie stworzyła takiego organizmu, któryby żył wiecznie, to człowiek, widząc znikomość dzieł swoich, może w niej mieć dla siebie usprawiedliwienie. Skoro gatunki zwierzęce giną lub przeradzają się, dlaczegóżby roboty ludzkie miały być niespożyte? Jesteśmy świadkami starzenia się bardzo wielu instytucyj, które niedawno jeszcze kwitnęły zdrowiem i które powszechnie uważano za nieśmiertelne. Któż np. przed pół wiekiem przypuszczał, że tak doskonały i święty przybytek narodów, jak parlament, okaże się giełdą interesów i rynkiem handlowym, nieodpowiadającym dojrzalszemu rozwojowi ludzkości? A przecież dziś na tę świątynię uderzają już nie kopalni zachowawcy mamutowego rodu, ale najzagorzalsi wyznawcy postępu. Podobnie stało się i z akademiami. Kiedyś były to senaty nauki, które rozstrzygały jej najtrudniejsze zagadki; teraz są muzeami balsamowanych powag i śmiesznych pretensyj. Z wielkiego ognia, który płonął wiedzą, pozostały kopcące i zwęglone głownie. Uleciał z nich żar — pozostał dym. I nieraz przy tych głowniach egoizm stawia swoje garnki, ażeby w nich pod pokrywką nauki ugotować dla siebie najzwyczajniejsze rosołki. Widzimy to nawet śród najsłynniejszego grona „czterdziestu nieśmiertelnych.“ Zapewnie bogowie daremnie łamią sobie głowy, czemu każdy nowy wybór „nieśmiertelnego“ w Paryżu tak zajmuje Europę, że aż nad Wisłą budzi zaciekawienie; nie bądźmy jednak domyślniejsi od bogów i przyjmijmy fakt bez wyjaśnień. Otóż to najpoważniejsze i najwyżej wzniesione ciało tak wyradnieje, jak wszystkie mu podobne. Akademia paryska, oprócz agitacyi wyborczej, głosowania i teatralnego przyjmowania nowych członków, trudni się jeszcze rozdziałem powierzonych jej pieczy nagród. Najponętniejszą z nich jest 20,000 fr., przeznaczonych dla ludzi wielkiej zasługi naukowej. „Nieśmiertelni“ wyrozumowali sobie, że ponieważ przysądzając tę nagrodę komuś z zewnątrz, niejako zobowiązywaliby się powołać go do swego grona, więc przyznawali ją jednemu ze swoich członków. Tym razem wybrali ks. Broglie. Zarówno przeszłość tego pana, jak jego dyletantyzm naukowy — nie mogły mu zjednać opinii. Prasa też zaprotestowała i oświadczyła się za obdarowaniem rodziny po słynnym historyku Fustel de Coulanges'u. Wtedy akademicy poszli po radę do Macchiavelego i rzekli: nie chcecie Brogliego, to wam przedstawiamy Reclusa (znakomitego geografa i socyalistę). Manewr ten jednak zawiódł — i pod naciskiem krzyków oddano 20,000 fr. spadkobiercom Fustel de Coulanges'a. Oklaskawszy ten tryumf, gazety francuskie uważają go za wyłom w murach zakonu, który po raz pierwszy nie zjadł sam tłustego wołu, danego mu na użytek publiczny.

Jeżeli zważymy, jakie ogół odnosi tryumfy i robi wyłomy w Akademii francuskiej, to nie powinniśmy niczemu dziwić się w krakowskiej. Szanowna ta matrona świeżo pomnożyła swoją bliższą i dalszą rodzinę „mianowaniem“ szeregu członków rzeczywistych i korespondentów. Prawie wszyscy, im większą mają wartość, tem odleglejszy zajęli plan. Do służby u ołtarza, przy którym celebruje arcykapłan St. hr. Tarnowski, powołani zostali tylko niepodejrzani w prawowierności stańczykowskiej. Opowiadano nam fakt rzetelnie humorystyczny. Między innemi trzykrotnie stawiana była kandydatura P. Chmielowskiego i za każdym razem nie utrzymała się. Dlaczego? Jeżeli p. Tarnowski może być prezesem Akademii, to chyba Chmielowski, który daleko więcej od niego i lepszych prac dał piśmiennictwu, mógłby być jej członkiem. Nie! Pomimo całego swego umiarkowania, oględności i spokoju w wypowiadaniu sądów, nie jest on jeszcze kandydatem do tego zaszczytu właściwym. Akademia bowiem wymaga nie temperatury chłodnej, ale gorącej, nie rozwagi, ale namiętności... stańczykowskiej. Nie podnoszę tego wypadku z zamiarem wywołania w czytelnikach zgrozy, lecz wesołości. Naprzód bowiem godność krakowsko-akademicka wydaje mi się tak drobną a raczej obojętną, że poświęcona upominaniu się o nią dla kogoś kropla atramentu jest stanowczo zmarnowana; powtóre ta Walhalla tak nas przyzwyczaiła do swojej humorystyki, że zdołałaby zadziwić tylko powagą. Instytucya, która służy za Olimp możnowładcom galicyjskim, ich wielbicielom i sługom, a nazywa się przybytkiem „umiejętności,“ jest czemś równie zabawnem, jak u dzikich „lekarz,“ sprowadzający deszcz i pogodę. Bo jeżeli jest jakaś dziedzina życia, w której nie mają żadnego znaczenia tytuły rodowe, majątki, polityka itp. rzeczy, to jedynie nauka. I właśnie jej kazano czcić te fetysze w Krakowie, a odwracać się plecami od pracowników, uprawiających jej niwę. Ale — jak rzekłem — wszystkie te śmiesznostki powinny być rozgrzeszone w imię powszechnego zwyrodnienia akademij. Są to wszędzie zabytki zestarzałe, nasiąkłe przeróżnymi wpływami, które z ich

celem nic mają nic wspólnego. Polityka, która jak pleśń pada na najpiękniejsze kwiaty ducha ludzkiego, i na tym osadziła swoje grzybki; spółki samolubne, które gotowe są odebrać światu słońce, ażeby je uczynić ogniskiem swych kuźni, otoczyły zwartemi kołami i tę pochodnię. Dziś jeszcze ogół, któremu imponują wszelkie stare mury, dopóki się nie rozwalą, widzi w akademiach skarbce mądrości, ale postęp podmywa je swemi falami, aż wreszcie zatopi. Jest to tylko kwestya czasu.

Czy sądzisz, czytelniku, że mówiąc o „ogóle," mam na myśli głównie nasz, bardziej od innych niedojrzały? Bynajmniej. Był czas, kiedy Europa pędziła naprzód skokami, a my uciekaliśmy w przeciwną stronę, ażeby światu, a raczej sobie pokazać, że mamy „własny, rodzimy postęp." Dziś ta Europa tak gwałtownie cofa się wstecz, że już nas przegoniła. Jako obywatelowi świata jest mi to bardzo przykro, jako obywatelowi mojego kraju — dość przyjemnie. Najbardziej pragnąłbym, ażeby wszyscy byli dobrzy, ale i to mnie cieszy, że my nie najgorsi. Wiadomo Wam, że podczas gry w bakarata złapano na oszustwie lorda Cumminga, bogatego magnata. I u nas ludzie szachrują w kartach, pomimo wszakże całej naszej lekkomyślności nie mogę sobie wyobrazić, ażebyśmy napiętnowanemu sądownie oszustowi wyprzęgli konie u karety i zaciągnęli go w tryumfie do domu, jak anglicy Cumminga. To już stanowczo przechodzi nasze ujemne siły. Wyprzęgamy konie śpiewaczkom, aktorom itp., ale Kusocińskiemu — nikt nawet nie próbował. A zatem moi szanowni ziomkowie, którzy z akademii nauk robicie dwór wielkopański, którzy mocarzom estradowym i scenicznym rzucacie pod stopy serca i rozumy, przebaczcie mi ostowe wieńce, które na głowy wasze kładłem, bo oto narody przodujące w cywilizacyi popełniają głupstwa stokroć od waszych większe. Nie chcę być niesprawiedliwym i zobowiązywać was do czynów, na które anglicy i francuzi zdobyć się nie mogą. Jeżeli Cumming jest bohaterem narodowym, to gdybyśmy, chcąc dorównać temu przykładowi, wybrali sobie za przedmiot czci jednego z podsądnych w procesie o fałszerstwa celne, bylibyśmy w zupełnym porządku.

W dniu szczerej skruchy i żalu za grzechy nie będę urągał namiętnościom, rozpalonym na polu wyścigów. Jeżeli imiona zwycięzców czworonożnych na torach europejskich są ogłaszane telegramami w najpoważniejszych gazetach; jeżeli koniowi, który wygrał wielką nagrodę paryską, składają wizyty dostojnicy; jeżeli niepocieszona wdowa po arcyksięciu Rudolfie zabija smutek przy rulecie w Monaco, dlaczegóż my nie mielibyśmy ubóstwiać „Cadiego," który zdobył nagrodę jubileuszową i grać w totalizatorze? Doprawdy byłoby to dziwne. We Francyi omal nie wybuchła rewolucya, gdy rząd zabronił gry na torze, a czyż nasza krew nie jest także gorąca i trochę francuska? Przed paru laty na wyścigach w Belgii jakiś sportsman, gdy koń jego pozostał w gonitwie ostatnim, zabił jednym strzałem rewolwerowym skompromitowane zwierzę, a drugim — siebie; wobec tego wybuchu namiętności czemże jest cicha skarga naszego sportsmana-kelnera, który do współki z 9 towarzyszami, zawierzywszy *Kuryerom*, postawił 10 rubli na „St. Autina" i stracił je dzięki „Cadiemu"? Biedne mrówki miałyby zupełną słuszność, oburzywszy się na ludzi, którzyby im wyrzucali to, że dotychczas nie zniosły u siebie niewolnictwa. Więc z pod pióra mojego nie wyjdzie dziś słowo nagany dla totalizatorowiczów z pola Mokotowskiego, tem bardziej, że niektórzy z nich, starając się o uśmiechy Fortuny wyścigowej, sprzedali na te zaloty zimowe palta i spodnie.

Wytrwam do końca w obronie naszych słabostek. Od kilku tygodni toczy się w prasie walka o cedały giełdowe. W tych rozkazach dziennych boga Merkurego nie wypełniano dotychczas wszystkich rubryk: notowano kurs „żądany" sprzedawanych papierów publicznych i „płacony" lub też pomijano drugi. Zwolennicy reformy zażądali, ażeby zaznaczano stale przeciętną normę „dopełnionych tranzakcyj." Nie będę tu wchodził w dość splątane szczegóły tej sprawy, niech nam wystarczy jej nić główna, mianowicie kwestya, czy wykaz kursów giełdowych powinien wyraźnie określać ich faktyczną w danym dniu wysokość, czy też pozostawiać bankierom pewną swobodę w obliczaniu przy zmianie pieniędzy interesantom. Korzyść geszeftów, które tu wodę mącą i ryby w niej łowią, usuńmy na bok, bo nas one nie obchodzą: nas obchodzi tylko dobro ogólne. Otóż niech giełda urządza sobie swoje cedały, jak jej się podoba, my ją prosimy jedynie o to, ażebyśmy z tych taks każdorazowo wiedzieli, po jakiej cenie możemy u każdego bankiera sprzedać lub nabyć papiery pieniężne. Zapewne między moimi czytelnikami są tacy, którzy posiadają dostateczną pod tym względem erudycyę; co do mnie wszakże — a z takich prostaczków składa się większość — wchodząc do bankiera dla zmiany pieniędzy ruskich na zagraniczne lub odwrotnie, nigdy nie wiem, co mam zapłacić i dostać. Nadto każdy z nas słyszał nieraz rady, wskazujące mu ten lub ów kantor wymiany, gdzie „sprawiedliwie liczą, a odstręczające od innych, gdzie „okpiwają." Tak być niepowinno. Bankier ma najzupełniejsze prawo do jakiegoś wynagrodzenia za pośrednictwo, ale niechże zarobek jego będzie ściśle oznaczony jakąś normą i niezależny od tej lub innej kredki, albo niech giełda nasza wyrzeknie się pretensyi ustalenia kursów. Z dwojga jedno: jej cennik ma moc obowiązującą lub jej nie ma; jeżeli ma — musi być przez wszystkich stosowany; jeśli nie ma — powiedzmy sobie, że list zastawny lub marka pruska jest towarem, który sprzedaje się na rynku więcej dającemu. Będziemy mieli kłopoty i straty, ale przynajmniej nie będziemy łudzeni, że samowola jest prawem. Tymczasem dziś mamy ciągle do czynienia z czemś, co przypomina i psa i wydrę, niby istnieją kursa rządowe, ale zarazem podlegające rociągliwości prywatnej.

A jak za granicą? — pytasz czytelniku. Tam panuje pod tym względem większy ład, ale za to giełda umie np. skłamać, że Ameryka zatonęła w oceanie, lub że Rosya wybudowała w ciągu doby nad granicą tysiące baraków i tym sposobem zniżyć cenę papierów. Przypomniawszy sobie te piramidy szwindlu, przestaję narzekać na nasze kretowiska. Nie, dziś już nie obwiniam nikogo, co najwyżej uprzejmie proszę Giełdę warszawską, ażeby pomyślała, że po za właścicielami kantorów wymiany są jeszcze ludzie, którzy zasługują na to, ażeby im nie obedrzeć całej skóry.

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze! W ostatnim N-rze pisma Pańskiego wyczytałem artykuł przeciwko mojej osobie wymierzony. Sądzę przeto, iż zechcesz Szan. Pan niniejsze słów kilka wyjaśnienia zamieścić. Ten gwałtowny i nieparlamentarny artykulik p. Nałk. uwalnia mię od obowiązku przedmiotowej odpowiedzi. Spierać się z p. N. o naukową wartość mojej działalności fachowej nie uważam za właściwe, sąd o tem pozostawiam fachowym ludziom. Chodzi mi tylko o uspokojenie p. N. co do ewentualnego nadużycia funduszów publicznych na wyprawę moją do Brazylii, oświadczając niniejszem do wiadomości powszechnej, iż żadnych zasiłków pieniężnych od nikogo w celu wyprawy dotychczas nie otrzymałem, a koszty jej ja sam i ludzie, którzy mi zaufali, poddając się pod moje dowództwo, ponosimy — nikt przeto wtrącać się do tego co i jak robić zamierzamy, niema prawa, a tem mniej p. Nałk.

Dr. Józef Siemiradzki.

List pana S. został napisany chyba jedynie tylko dla zadośćuczynienia prawidłom konwenansu, albowiem niczego nie dowodzi i niczego nie objaśnia.

1) Zarzut nieparlamentarności najmniej służyć może panu S., albowiem, gdy dawniej przemawiałem doń w tonie parlamentarnym, nie umiał tego ocenić i nazwał mnie za to drwiąco „wspaniałomyślnym," innym zaś, jak wiadomo, wymyślał od awanturników. Sam więc dobrowolnie wyrzekł się prawa do parlamentarności.

2) Zarzut niefachowości wynikł z błędu identyfikowania fachowości z tytularnem stanowiskiem. Fachowość polemiki polega nie na takiem stanowisku, lecz na wadze argumentów.

W liście moim dowiodłem grubych błędów pana S. powołaniem się bądź na inne prace moje, bądź na *Pamiętnik fizyograficzny*, a czyż i ten w wysokiem mniemaniu pana S. miał być pismem niefachowem i niegodnem ocenić wysoce fachowych prac szanownego doktora i wodza wypraw naukowych? Zresztą jeżeli tego mało dla p. S., to gotów jestem za kilka tygodni wypracować obszerny referat, wykazujący szczegółowo ze wszystkimi dowodami liczne a bardzo zasadnicze błędy i sprzeczności w pracach p. S.

Oba powyższe zarzuty postawione zostały przez p. S. tylko dlatego, aby uchylić się przezornie od niedogodnej polemiki naukowej. Ale to nikogo nie złudzi: jest to stara metoda, metoda strusia chowającego głowę w piasek, którym dla pana S. jest parlamentarność i fachowość, a raczej tytularne stanowisko. Fortel ten więc nic nie pomoże: błędy pozostaną błędami, na szczęście bowiem naukowych dowodów nie zdoła stłumić żadna urzędowa powaga, choćby się jaknajbardziej nadęła.

3) W zarzucie, że „nikt nie ma prawa wtrącać się" itd. przejawia się więcej dumy, „wodza," niż konsekwencyi doktora, albowiem jeżeli panu S. wolno było „wtrącać się" do innych, to i innym (choć tak małym, jak ja robaczkom) wolno się wtrącać do pana S. Skądże bowiem pan S. ma prawo do takiej podwójnej buchhalteryi społecznej?

Co zaś do tego, iż tylko ci dają panu S. pieniądze, którzy mu „zaufali," to „objaśnienie" takie jest zupełnie zbyteczne; wprawdzie teoretycznie istnieje jeszcze druga kategorya dających, mianowicie waryaci, ale ponieważ bywają oni albo zamykani, albo oddawani pod kuratelę, więc praktycznie nie wchodzą oni w rachubę, pozostają tylko ufający.

Wogóle list pana S. ma dziwny charakter, jak na list uczonego doktora i fachowca *par excellence*: oto widać z niego, że p. S. nie zdaje sobie nawet sprawy, że twierdzenia w naucze wymagają dowodzeń; pan S. widocznie przejął się przedwcześnie ponętną rolą przyszłego „wodza."

Wacław Nałkowski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dobre interesy robią spekulanci żydowscy przy sprzedawaniu ziemi w Palestynie na raty. Kto chce kupić winnicę, płaci w ciągu lat 8-miu premie po rs. 41 rocznie, a po upływie tego czasu otrzymuje akcyę za pośrednictwem jednego z domów bankierskich w Mińsku gub. Zaledwie po upływie lat 10-ciu posiadacz akcyi może się przesiedlić do Palestyny, gdzie ma otrzymać: 8 desiatyn ziemi, winnicę, chatę, inwentarz i — 1,500 rs. Przez te jednak lat 10 używalność winnicy należy do spekulanta. Czy te majątki istnieją i czy „premiówka" nie jest oszustwem — trudno sprawdzić.

— W Warszawie przy ul. Przebieg rozpoczęto budowę gmachu w celu pomieszczenia i powiększenia warsztatów dla biednych chłopców i sierot starozakonnych, wychodzących z zakładów dobroczynnych. Wprowadzona będzie nauka introligatorstwa, snycerstwa i innych lżejszych rękodzieł.

— Pomiędzy ludnością żydowską w Płocku zawiązało się kółko dla wspierania zasiłkami pieniężnymi ubogich wychodźców żydowskich w Palestynie.

— Ministeryum komunikacyi wzniosło do rady państwa projekt utworzenia w główniejszych punktach żeglugi wodnej stałych artelł robotniczych, które by się zajmowały wzmacnianiem brzegów, zabezpieczaniem od zasypów, ładowaniem ze statków i w ogóle dostarczały zdolnych robotników nadbrzeżnych.

— Ministeryum sprawiedliwości postanowiło, aby nagromadzone w instytucyach sądowych sumy, po które w ciągu lat 10 nikt się nie zgłaszał, przelewane były do skarbu. Jeżeli wszakże po tym terminie zgłoszą się prawi właściciele, ministeryum zwraca je i zamieszcza w rubryce nieprzewidzianych wydatków.

— Istnieje projekt asekuracyi rządowej koni od kradzieży.

— W sferach rządowych opracowano projekt wykupienia w kraju południowo-zachodnim miast, stanowiących własność prywatną. Zasada wykupu: 1) suma szacunkowa obliczona będzie stosownie do dziesięcioletniego dochodu czystego z miasta; 2) za podstawę przyjęte będą dochody właścicieli, tj. czynsz z dzierżawy gruntów, domów, sklepów, dochody z propinacyi, wydzierżawienia rybołówstwa, mostowego itd.

— W Warszawie na posesyi uniwersyteckiej rozpoczęto budowę gmachu dla pomieszczenia biblioteki.

— Naczelnik miasta Petersburga, na zasadzie prawa dotyczącego pracy małoletnich, wydał rozporządzenie, aby pracownice magazynów mód w wieku lat 12 do 15 pracowały dziennie nie więcej nad godzin 8 i najwyżej cztery godziny z kolei. W żadnym razie nie mogą pracować w nocy.

— Skutkiem podniesienia cen pieczywa i znacznego zmniejszenia wielkości bułek i bochenków przez piekarzy poznańskich, publiczność miejscowa zakłada piekarnię związkową.

— Towarzystwo muzyczne we Lwowie zamierza wybudować własny gmach.

— Ustanowiona przez rząd komisya do zbadania stosunków pracy w Anglii zwołała rzeczoznawców, którzy się oświadczyli przeciw dopuszczeniu dalszego napływu robotników cudzoziemskich, żądając warsztatów państwowych dla robotników bez zajęcia, tudzież ośmiogodzinnego dnia pracy.

— Rząd francuski wnosi przed izbę projekt, gwarantujący robotnikom po trzydziestu latach pracy pensyę roczną w rozmiarze 300—600 fr. Kapitał emerytalny ma powstać z opłat od pracodawców, robotników i skarbu. Wszyscy fabrykanci i przedsiębiorcy, którzyby chcieli najmować robotników zagranicznych, obowiązani są za każdego wnosić na rzecz emerytury krajowych po 10 centymów dziennie. Roczny wydatek skarbu na ten cel obliczono na sto milionów franków.

Szkoły. Ogłoszono rozporządzenie, aby utrzymujący czytelnie nie wydawali bez pozwolenia władzy szkolnej książek uczniom zakładów średnich i niższych. Nadto utrzymujący gabinety do czytania przy czytelniach, oraz zarządzający biblioteką publiczną nie będą mieli prawa wpuszczać tam młodzieży szkolnej. Niestosujący się do tego polecenia będą karani sądownie.

— W Warszawie ma powstać szkoła szermierki.

— Wykłady przedmiotów ogólnych w szkołach felczerskich wojskowych, będą rozszerzone w zakresie kursu 6-ciu klas gimnazyów klasycznych. Jednocześnie mają być powiększone przywileje służbowe osób kończących takie szkoły.

— Ministeryum oświaty otwiera w Besarabii z dn. 13 września r. b. 14 szkół wzorowych.

Sprawy kolejowe. Odbywającemu się obecnie zjazdowi taryfowemu przedstawicieli kolejowych złożono projekt rządowy w sprawie ustępstw dla młodzieży uczącej się na wzór tych, jakie już poczyniły koleje rządowe.

— Zarządy kolei tutejszych otrzymały polecenie ministeryum komunikacyi dokonania przy udziale członków inspekcyi rządowej specyalnych prób mostów kolejowych, mających przęsła 7-sążniowe i dłuższe; przy próbach użyte będą parowozy 8-kołowe.

— Na budowę domów mieszkalnych dla rodzin służby na różnych stacyach kolei Wiedeńskiej zarząd wyznaczył 500,000 rs.

— Międzynarodowy kongres kolejowy w Sztokholmie uchwalił zorganizowanie komunikacyi pośpiesznej w ciągu zimy pomiędzy Londynem, Berlinem i Wie[illegible]

— Skutkiem katastrofy na rzece Birsie odbywa się obecnie z nakazu rządu związkowego gruntowna rewizya wszystkich mostów na linii Simplon-Jura.

— Zarząd kolei Dąbrowskiej postanowił wydawać bilety bezpłatne służącym, mamkom, niańkom towarzyszącym dzieciom urzędników. Jednocześnie liczba biletów ulgowych dla pracowników kolei będzie ograniczona do 40 rocznie; prawo bezpłatnego przewozu artykułów żywności dla urzędników jest zniesione.

— Kolej Moskiewsko-Brzeska zapożyczyła z kapitałów obligacyjnych rs. 2,144,218 kop. 32 na budowę nowego toru od Wiaźmy do Smoleńska.

— Ma powstać centralna kasa pomocnicza dla służby kolejowej, pozbawionej emerytury, miejsca, lub możności pracy z powodu kalectwa i choroby, tudzież w celu pomocy dla wdów, sierot i szukających zajęcia.

— Wydano pozwolenie na badania w celu budowy kolei z Hasenpola do Libawy.

— Z rozpoczęciem budowy kolei Syberyjskiej otwarty będzie kantor banku państwa we Władywostoku.

— Wkrótce rozpocznie się budowa kolei Winkowce Gunja (w Bośnii) do brzegów Sawy.

Komunikacye. Towarzystwo telefonów w Sztokholmie postanowiło wynajmować telefony za 10 koron rocznie (około 5 rs.). Za tę zapłatę Towarzystwo zakłada aparaty i łączy je ze stacyami po domach prywatnych. Dla ułatwienia komunikacyi podzielono Sztokholm na 14 dzielnic, z których każda własną stacyę posiadać będzie. A u nas? — Tylko kapitaliści mogą korzystać z przywileju szybkiego porozumiewania się od biurka.

— W Niemczech taksa od telegramów do Rosyi i Królestwa Polskiego od 1 lipca będzie zniżoną do 20 fenigów za wyraz.

Zjazdy. W roku przyszłym postanowiono zwołać w Petersburgu zjazd lekarzy weterynaryi, w celu naradzenia się nad sposobem wytępienia epizootyi.

— Ministeryum dóbr państwa wydało pozwolenie na zwołanie zjazdu rolników w Kijowie w r. 1892. Mogą w nim brać udział posiadacze ziemscy z gub.: kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, połtawskiej i charkowskiej.

Wystawy. W Kalwaryi (gub. suwalska) 6 września odbędzie się wystawa koni roboczych włościańskich i źrebiąt.

— W Połtawie będzie urządzona wystawa rolnicza [illegible]

— W r. 1894 będzie otwarta w Odesie wystawa przemysłowa, [illegible] szczególnem uwzględnieniem handlu z półwyspem Bałkańskim.

— W przyszłym roku odbędą się w Bułgaryi pierwsze dwie wystawy rolniczo-przemysłowe, w Ruszczuku i w Filinopolu.

— W Bremie otwarto wędrowną wystawę rolniczą.

— Na r. 1895 zapowiedziano w Rzymie wielką wystawę narodową jednocześnie z wystawą elektryczną.

— W Bernie podczas kongresu geograficznego odbędzie się wystawa z trzech oddziałów złożona: 1) międzynarodowy geografii szkolnej, 2) alpejski, 3) historyczny mapografii szwajcarskiej.

Wypadki. Z Nowego Jorku telegrafują, iż na rzece Coon w pobliżu wodospadów wykoleił się pociąg i runął do wody. Mnóstwo ofiar.

— W Stanach Zjednoczonych trąba wodna zatopiła kopalnię pod Saint Louise wraz z pracującymi w nich robotnikami.

Uwaga. Życząc Towarzystwu jedwabniczemu jak najlepiej, pragnęlibyśmy, ażeby ono nie zrażało ludzi niczem, nawet formą swych odezw. Pojmujemy, że jego zadaniem nie jest uprawa stylistyki, lecz morw i jedwabników; wszakże nawet przy tem zadaniu nie wypada p. przewodniczącemu i to doktorowi filozofii pisać w odezwie publicznej: „jak skoro umorzone poczwarki" lub „ceny najniższego sortu."

Zmarli. W. Kochowski, dyrektor Muzeum pedagogicznego w Petersburgu.

— L. J. Berlot, w Brukselli, kompozytor belgijski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Fan. Wiel. Tak — chwilowo adresu jego nie mamy.

P. Ant. Mosz. Ponieważ autorka (nie autor) nie podpisuje się sama całkowitem nazwiskiem, więc i my go odsłaniać nie możemy.

P. J. Kod. Z artykułu pańskiego korzystać nie będziemy. Jest on za pobieżny.

J. N. W. Jest to bardzo nikła planka.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek kwartalny, zeszyt III **Rozwoju moralności.**

O G Ł O S Z E N I A.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 14 Іюня 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.